№ 30. Warszawa, dnia 12 (24) Lipca 1875 roku.



I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAN I ROBÓT KOBIECYCH.

Prenumerata wynosi: w WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kop. 80.—Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2 k. 50. Numer pojedynczy k. 15.—w POZNANIU prenumerować można w księgarni Leitgebera;—w KRAKOWIE przesyłając należytość do A. Nowoleckiego w wydawnictwie Czytelni ludowéj lub wprost do Redakcyi w Warszawie. Przedpłata dla GALICYI z przesyłką pocztową kwartalnie złr. 4. W KRAKOWIE złr. 3. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie, przy ulicy Elektoralnej Nr 779 (nowy 41).

Szkice i Notatki

z podróży

MARYI SZELIGI.

III.

WERONA I PADWA.

A więc dążymy już i zbliżamy się ku tej uroczej włoskiej ziemi, ojczyznie artystów i poetów; ku szczęsnej krainie gdzie „kwitną pomarańcze i cytryna dojrzewa,“ a więc niecierpliwie oczekujemy granicy, i mnie zdaje się, że pociąg za wolno idzie...

Ale przed memi oczyma rozwija się cudny obraz: góry, na których średniowieczne zamki dźwigają jeszcze ku niebu wieże, jak zdruzgotaną prawicę—w dolinach świeci srebrna wstęga rzeki Sill— malownicze wioski rozrzucone, lasy na pochyłości gór, wszystko to stanowi rozmaitość mogącą umilić czas podróży. Wpatruję się więc z rozkoszą, lecz częste długie tunele jakby na przekorę, wśród najbardziej interesującego punktu, chwytają nas z nienacka w objęcia ciemności. Kolej żelazna wspina się, i obiega skały zuchwałemi łuki, a choć zasadzki tunelów pozbawiają nieprzerwanego ciągu widoków, trzeba jednak oddać sprawiedliwy hołd pracy i pomysłom co wykonały tę śmiałą drogę.

Przebywszy stacyą Brenner, widzimy lodniki; a w dolinie rzeki Eisack wspaniałe obrazy dzikiej natury, muszą wywołać okrzyk podziwu. Choć mrok już zapadał, jasny księżyc nowym wdziękiem rozświetlił krajobrazy. Skały porfirowe ciągną się wielkim festonem, a na wyżynach, gdzieniegdzie bieleje kościołek, błyszczy światełko w chacie wiosek, zaludniających górską okolicę. Jak tu ślicznie. Zdaje się, że mieszkając na takiej wyniosłości, w otoczeniu natury, obcując z nią ciągle, trzeba stać się poetą i marzeniami łączyć się z fantazyami przyrody; pieśnią, modlitwą, rwać się musi uczucie w to czyste, błękitne niebo, jak ptak co wśród bujnych krzewin ściele swe gniazdko, i podlatuje wysoko wyśpiewując swe rozkosze....

Olbrzymie obłoki pary iskrami przetykane, jak zasłona przewinęły się około okna wagonu— gdy się rozwiały, nowy podziw: ależ to piramidy rysują się w blaskach księżyca!!

Tak jest. Piramidy naturalne z porfiru: i natura ma swe dziwactwa. A ludzka natura ma znów swe prawa, bo czujemy znużenie ogromne, i wyglądamy chwili w której nam oznajmią słodkim dyalektem włoskim, żeśmy u celu naszej dzisiejszej podróży.

W wagonie oprócz nas, zebrała się *Polonia*, więc rozmawiamy trochę. Jakiś z głębokiej prowincyi, rozpoczyna rzecz o literaturze bieżącej, i — pożal się Boże! jak ją ciężkim dowcipem orze i kaleczy. Nikomu nie przebaczył; uśmiechnęłam się mimowoli myśląc, co by na to powiedzieli ci, co są pewni że kierują opiniją prowincyi jak spowiednik duszą penitenta!

Ale otóż i Werona — wysokie domy z arkadami, pod któremi przesuwają się postacie tajemnicze w płaszcze otulone; ulice ciasne, słabo oświetlone gazem, lecz pysznie w księżycowych odbijające promieniach... wrażenie pierwsze miłe, czujemy się w innym żywiole. Olbrzymie ruiny Areny mignęły przed oczyma; tam znów smukły cyprys wzbudza marzenia o gajach wiecznie zielonych... śpiew melodyjny rozlega się w zaciszu ulic i ogrodów... wyznaję, że mi serce biło silnie, i w pierwszem uniesieniu gotową byłam zawołać:

— Vedere Italia, e poi morire!

Nazajutrz rankiem, pilno nam wybiedz na miasto. Jak zazwyczaj, bierzemy fiakra i każemy się najprzód obwozić po najciekawszych punktach. Zwiedziwszy kościoły których tu jest mnóstwo, i stanowią ciekawe zabytki architektury w stylu któryby można nazwać bizantyńsko-germańskim; obejrzawszy place, pałace, uwieńczamy dzień ten hołdem na cześć poezyi, i oglądamy dom w którym Dante wygnany z Florencyi gościnnie był podejmowany na dworze Alboina I-go, a potem jedziemy wzdychać przy grobie Giulietty.

Ale pomimo najromantyczniejszego nastroju, nikt nie może zdecydować się na uznanie grobu pięknej córy Capulettów za poetyczny... Wchodzi się do owej kapliczki, przebywszy długą ulicę lichego ogródka, wysadzoną (o zgrozo!) grochem tyczkowym... O wieku materyalistyczny, profanujący pożytecznością wspomnienia idealne! Czułe serca i wyobraźnie opuszczają to ustronie z gorzkiem wrażeniem zawodu — niestety, wstęp do ogródka stanowi budynek służący za skład gospodarskich narzędzi, woń czosnku napełnia powietrze, a przed drzwiami budy ryczący osieł najgrawa się swą prozą obrzydliwą, duszy tkliwej co tu chciała znaleść wątek do marzeń...

Za to rozczarowanie nagradza w części cudny widok z wieży w ogrodzie Giusti. Starożytne mosty, ruiny, kościoły, niezmiernie imponujące czynią wrażenie. Pierwszy raz widziana południowa roślinność, te śliczne cyprysy, te olbrzymie bluszcze na murach wdzięcznie owijające swe wiecznie zielone sploty, miłą oku wędrowca sprawiają rozrywkę.

Werona wydała wielu sławnych artystów i uczonych, między innemi: Catulla, Pliniusza starszego, Giotta, wreszcie Pawła Veronese, lecz ze względu, że wędrówka nasza ściąga się do miejsc, gdzie sztuce największą poświęcim uwagę, pomijam obrazy widziane dodając tylko, że to niegdyś piękne miasto, dziś bardzo miłe dla podróżnika jako wstęp do włoskich miast wywiera wrażenie. Żegnam je, przyjaźnie usposobiona dla szanownej staruszki, która swe wdowie szaty nosi z powagą i godnością właściwą dawnej stolicy Italji.

Jedziemy tedy do Padwy. Miasto ma dla nas odrębne wspomnienia, gdyż tutaj do uniwersytetu uczęszczał Kochanowski, Kopernik, Stefan Batory, i wielu polaków z zamożnych rodzin. Tutaj także, równie jak w Bolonji najpierw została praktycznie

rozstrzygnięta kwestya emancypacyi kobiety, gdyż nie jedna słuchała wykładanych kursów, a między imionami doktorów czytamy imię i widzimy statuę Heleny-Lukrecyi Cornaro Piscopia, sławnej ze swej uczoności i urody, ozdobionej doktorskim biretem. Pokazuje się, że zdolności i dobra wola, nawet wówczas gdy przesąd krępujący działanie kobiety był bardzo silny, zwyciężają i dochodzą do rezultatu pracy i zasługi.

Wspaniały kościół św. Antoniego, przeładowany pomnikami, jest więcej bogaty niż gustowny, a temat życia świętego wyczerpany przez wielu mistrzów, przedstawia szeregi fantastycznych pomysłów artystycznego wykonania. Sansovino, Donatello, Tyzian, Jacopo, d'Avanzo, Antonio Vadovani, w malowidłach swych uwiecznili legendy o cudach patrona rzeczy zgubionych. Kopuła jest pyszna.

Trzecią ciekawością w Padwie jest sala w pałacu della Ragione, największa w Europie podobno, zbudowana w roku 1209 przez Pietro Cozzi. Sufit jej zdobią freski niezmiernie zagmatwanej treści; jedyne umeblowanie jej stanowi koń drewniany praca Donatella, olbrzymi, mający zapewne przypominać Troję, po której zdobyciu, wedle twierdzenia Tytusa Liwiusza, i uprzedzenia Padowianów, Antenor miał założyć to miasto.

Pałace wielkie, kościołów pełno; plac Prato della Vale, osadzony drzewami, z fontanną w pośrodku, otoczony posągami sławnych ludzi, między którymi mieszczą się Sobieski i Stefan Batory; przejrzałyśmy skrupulatnie wszystkie zakątki, byłyśmy nawet w kawiarni Pedrocchi, kolosalnej budowie, któraby wszystkie cukiernie i restauracye mogła jak w pudle wygodnie pomieścić. Padwa miała dla nas mniej uroku niż Werona, z dwóch przyczyn od niej wcale niezależnych, najprzód: że było to *drugie* z kolei widziane włoskie miasto, potem, że ztąd już miałyśmy jechać prosto do Wenecyi, a któż nie poczuje pewnego zapału na myśl ujrzenia tego oryginalnego miasta, którego opisy wzbudzają tyle ciekawości.

Nie przedłużałyśmy więc pobytu, spiesznie zwiedzałyśmy rzeczy godne uwagi, a ukończywszy to, z przyjemnością wsiadłyśmy do wagonu, licząc godziny które nas dzielą od progów królowej morza. Cierpliwość nasza nie była wystawioną na próbę, wyjechałyśmy o 3-ej po południu, a jeszcze słońce pozłacało szczyty pałaców, gdyśmy już w weneckiej gondoli, z wejrzeniem ciekawie wypatrzonem na około, płynęły przez Canale-Grande, i nowe a urocze zjawisko tego fantastycznego miasta, zatarło prawie skromne wrażenie z Werony i Padwy, dając im we wspomnieniach drugorzędne stanowisko drogi wiodącej do celu.

WE ŚNIE.

Miałem sen... jeden z tych darów Boga
Rzewnych a pięknych — wonnych jak kwiaty!
Jedno z tych wrażeń do których droga
Wśród jasnej zorzy... po ponad światy!..
Miałem sen... jakich niewiele bywa!
Tkliwy... jak lutni niebiańskiej tony,
Czysty... jak rosa co z niebios spływa,
Bogatszy w skarby... jak królów trony!..

* * *

Anioł uczucia — król tego kraju
Gdzie myśl i serce wśród marzeń tonie —
Uśpił mą duszę... i wniósł do raju,
Stroiąc nadziei wieńcem me skronie!...
A wieniec to był lekki i wonny....
I błogość sprawiał w całej istocie
Jak śpiew aniołów... jak wzrok Madonny,
Jak błogosławieństw milijony... krocie...
I widzę we śnie... wiotką jak tchnienie
Postać niewieścią—z uśmiechem w twarzy —
A taką piękną... jak urojenie
O jakiem dusza w snach tylko marzy!..

* * *

Zbliża się do mnie — dłoń sennej woni
Kładzie na sercu... wstrzymuje bicie —
A drugą dłonią... zdjęła z mej skroni
Wieniec nadziei — mych marzeń życie!..
Chwilkę z litością popatrzy na mnie...
Ust swych korale zbliża uczenie....
Wonnej pieszczoty położy znamię
I... znika w dali...jak snu złudzenie!..

* * *

O! choć nadziei wianuszek złoty
Był tłem co życie szczęśliwszem czyni,
Czuję brak w duszy... owej pieszczoty
I tej uroczej— wonnej.. .bogini!!...

Kazimierz Niemierowski.

WYDZIEDZICZENI

PRZEZ

Elizę Orzeszkową.

(dokończenie).

Użyteczność szkół niedzielnych dla służących podać kto może w wątpliwość z powodu samegoż zaniedbania umysłowego w jakim klasa ta obecnie zostaje. Może tu powstać pytanie: czy słowo nauki wypowiedziane w rzadkich odstępach czasu, wywrze jakikolwiek wpływ na umysły do zastanawiania się i zapamiętywania nie wdrożone, pierwotną, elementarną edukacyą do przyjęcia w siebie obszerniejszej wiedzy nie przysposobione?

Zapewne; elementarna edukacya dzieci, gdyby rozpowszechnioną była i wszystkich klas ludu sięgała, ułatwiłaby znacznie zadanie oświecenia i moralizowania dorosłych. Rozwój i płodność zadań społecznych solidarnemi są ze sobą tak jak rozwój i szczęście społecznych warstw i ludzkich jednostek. Rozpowszechnienie szkół elementarnych dla dzieci ludowych w ogóle, rzuciłoby nie jeden promień oświaty, uszlachetnienia i na klasę ludzi którą zajmujemy się obecnie. Oczekiwać jednak na rezultaty mogące być przyniesionemi przez dość daleką prawdopodobnie przyszłość, w obec palących potrzeb i cierpień teraźniejszości niepodobna i nie należy. Nauczanie dorywcze niejako i w dalekich odstępach czasu udzielane jakiego dostarczać mogą szkoły niedzielne, nie zdoła, przy niedostatecznych środkach elementarnego kształcenia, dokonać wszystkiego co pożądanem byłoby w tym względzie, dokonać jednak może nie mało jeśli w odpowiedni sposób urządzonem zostanie. Urządzenie to powinno mieć na względzie cele czysto praktyczne, i posługiwać się środkami ściśle odpowiadającemi gruntowi, na którym roztoczą się prace nauczających. O wyższych kursach nauk, o prowadzeniu umysłów w myślenie niewprawnych, w światy pojęć oderwanych i mowy tu być nie może.

Prawdziwie pożytecznemi byłyby te pogadanki o przedmiotach mających związek z bytem najcodzienniejszym, lecz ukazujące go szerzej, pełniej niż bywa on teraz dostrzeganym: o domowej ekonomji i higienie, o naturze i wynikach pewnych przymiotów moralnych, jak: uczciwość, pracowitość, oszczędność, porządek, zgoda z ludźmi i t. d. Wiązać by się z tem musiała elementarna i w jak najprzystępniejszą postać ujęta nauka rachunków, jeografji, historyi chociażby w formie przeważnie bijograficznej, w części zaś lubo bardzo umiarkowanej, dla rozbudzenia tylko ciekawości i uprzyjemnienia chwil nauki, i w anegdotycznej. Bijografije ludzi prostych, skromnych, lecz w prostocie i skromności swej cnotliwych, zacnych, małemi środkami wielkich rzeczy dokonywających, byłyby tu nawet w wysokim stopniu użytecznemi. Dość dobry przykład takiego stawienia przed oczy ludu postaci owianych urokiem czynnej cnoty, i poezyą płodnych cierpień i usiłowań, istnieje w książce Smilesa p. t. Self-help. Dla naszego ludu, mianowicie zaś dla klasy służących naszych, należałoby wybierać pomiędzy postaciami temi takie, których stan i położenie najbliższy miały związek z ich położeniem i stanem, których istnienia, cierpienia, czyny i zasługi najżywiej przemawiaćby mogły do zrozumienia ich uczuć i wyobraźni. Ostatniej tej władzy nauczanie podobne nie powinnoby spuszczać z uwagi. Dla ludzi najzupełniej odartych ze wszystkich serdecznych radości życia, głęboko pogrążonych w materyalne, drobnostkowe, zimne starania i zabiegi, nieskończenie pożądanem jest każde by najskąpsze światło ideału, ideału że tak wyrazimy się, po ziemsku pojętego, praktycznego ale nauczającego ciężary życia znosić cierpliwie, w ludziach widzieć mniej lub więcej szczęśliwych braci, litować się, kochać, przebaczać.

Dla tego nie bylibyśmy przeciwni pewnemu poetyzowaniu przedmiotów, o tyle przecież aby przy niem nie traciły one nic na swej prawdzie realnej, i na swej postaci codziennej.

Wszystkie zadania te byłyby w znacznej części ułatwionemi i w skutki obfitszemi przez to, że służący nasi miejscy, najpowszechniej umiejętność czytania posiadają. Dziś atoli umiejętność ta ku niczemu w zupełności im nie posługuje. Używają jej zaledwie do machinalnego modlenia się z książki w kościele, w domach zaś pewnej sfery towarzyskiej, które służby zbyteczną ilość trzymają a zatem zbytecznemi obowiązkami ją nie zatrudniają, co najwięcej do czytania dzieł nie budującej bynajmniej, owszem, arcypłochej, gorszącej treści. Udzielić pewnej sumy najniezbędniejszych wiadomości naukowych, rozjaśnić treść codziennego życia wytłomaczeniem znaczenia i wagi mieszczących się w niem obowiązków i trudów, ukazać w czem, gdzie mieszczą się najkonieczniejsze przymioty i cnoty człowieka, jak można i dla czego posiąść je należy, jakie są dobroczynne następstwa ich w bycie praktycznym, zapalić ciekawość do rzeczy prawdziwych, dobrych, nauczających, pięknych, obudzić chęć do pożytecznego czytania, dopomódz cierpiącym, ubogim, spracowanym do przenoszenia w cierpliwości bytu swego i do starań o jego naprawę — oto cele o osiągnięcie których nauczanie niedzielne służących starać się powinno, które osiągnęłoby niezawodnie w wielkiej części gdyby istniało, a istnienie swe oparło na dokładnej znajomości natury i przeznaczeń swoich.

Wiemy dobrze jakie trudności spotkać musi wytworzenie proponowanego przez nas środka. Trzeba na to zezwolenia władz, miejsca, niejakich środków materyalnych a przedewszystkiem — ludzi, i to całego kompletu kompetentnych ludzi. Trudno! trudno! ale

czy niepodobna? Niech zastanowią się nad tem wszyscy dręczeni dziś, nękani przez szkody, kłopoty, zmartwienia sprawiane im służbą ich domową; niech zastanowią się nad tem ci, którzy umiejąc czuć litują się nad wydziedziczonemi a umiejąc myśleć rozumieją jakie nieuniknione i wielostronne rany zadają wydziedziczeni — uprzywilejowanym.

Tymczasem jednak nim rzecz ta zostanie obmyślaną i w systematyczną całość ujętą (że stać się to musi prędzej lub później, wierzymy silnie) czy nie byłoby pożytecznem urządzanie od czasu do czasu dla klasy służących odczytów podobnych tym, jak te które od pewnej pory urządzanemi bywają dla rzemieślników? Zarzuci kto może przedstawieniu temu, chęć zbytecznego specyalizowania i rozdrabiania nauczań publicznych. Wszak odczyty dla rzemieślników są już same dość przystępne a więc i służący dowolnie korzystać z nich mogą.

Nie jesteśmy tego zdania. Położenie, potrzeby, zatrudnienia, usposobienia każdej z dwóch klas tych różnią się pomiędzy sobą wielce. Bez tego o czem wiedzieć niezbędnie jest rzemieślnikowi, służący obszedłby się wybornie i na odwrót. Rozprawa np. o właściwościach, użyteczności i dziejach żelaza, zajmująca i nauczająca dla rzemieślników pomiędzy któremi znajdują się kowale, ślusarze i t. d. jakże nieuważnych i zniechęconych słuchaczów znalazłaby wśród kucharzy, pokojówek, praczek, lokai i t. d! Zachęcanie do przykładnego życia rodzinnego i rozumnego wychowania dzieci, tak stosowne dla rzemieślników posiadających rodzinne swe ogniska i ojcowskie obowiązki, jakież echo wywołaćby mogło w umysłach i sercach ludzi, którzy ogromnej większości ani rodzin do ukochania, ani dzieci do wychowywania nie mają?

Mnóstwo podobnych punktów rozdziału znaleść można pomiędzy nauczaniem dla każdej z dwóch klas stosownem. W skutek podziału prac i różności wytwarzanych przezeń położeń, specyalizować się też powinno publiczne ich nauczanie. Wszakże uorganizowanie odczytów nie napotkałoby ani setnej części powyżej wspomnianych przeszkód i trudności. Trzeba tu tylko szczerych usiłowań pewnej liczby ludzi dobrą wolę i stosowną umiejętność posiadających. Umiejętności takiej częścią składową bardzo ważną jest znajomość dokładna ludzi, których nauczanie na celu mieć będzie. Któż zaś lepiej, wszechstronniej znać może wady ich i przymioty, potrzeby i cierpienia, żądania i dążenia jak kobiety — gospodynie domów, obcujące z nimi nieustannie, najwięcej przez nich tracić i cierpieć, najsilniejszy na nich wpływ wywierać mogące? Dla tego też zapytujemy: czy wśród kobiet naszych oświeconych, umiejących myśleć i pisać (pisać choćby nie do druku), nie znalazłyby się takie które zadania tego podjąćby się chciały? Wszakże pożądają one czynu, dopominają się o pole działalności, zamożne, wiele mają zbytecznego czasu, bezdzietne szczególniej albo takie których dzieci co chwilowych starań ich już nie potrzebują uskarżają się głośno lub ścicha na pustkę życia, na mnóstwo zbywających im, niezużywanych na nic sił i energji żywotnych. Oto sposobność do pożytecznego i szlachetnego sił tych użycia, do zapełnienia godzin zbywających od obowiązków łatwych.

Powszechnie u nas panuje jeszcze uprzedzenie przeciw wstępowaniu kobiet na katedrę. Ale ta o której mówimy będzie katedrą maluczkich, nieumiejętnych, wydziedziczonych. Mówić się z niej będzie o sprawach domowych, powszednich, o cnotach nieodbitych najpokorniejszemu nawet życiu, o pięknie tak przystępnem, aby je oko dziecka nawet ogarnąć i zachwycić się niem mogło. Będzie to dzieło miłosierdzia i zarazem domowego gospodarstwa, jedno i drugie przecież wszechzgodnie przyznano dziedziną starań i prac kobiecych. Będzie to także dziełem wychowawczem; nieumiejętni — są dziećmi. Któż wzbroni kobiecie prawa oświecania nieumiejętnych a więc nauczania dzieci, chociażby też okupić się ono musiało faktem tak straszliwym jak wstąpienie kobiety na katedrę? Aby zresztą nie było mowy o profesoryacie a ztąd i o emancypacyi kobiet i zgubnych teoryjkach zachodu, postawcie zamiast katedry, stół, stołek, ławę, ale niech przyjdą ku nim te które czynić pragną i umieją a nie czynią nic, i niech spełniają obowiązek bardzo prosty i zarazem nieskończenie ważny.

Podobne umoralnienie zaniedbanej dotąd klasy ludności za pomocą udzielanej im elementarnej i praktycznej oświaty, przyniosłoby bez wątpienia pożytki nie małe, a jednak, pomimo całej ważności swej zapobiegałoby złemu jednostronnie tylko, więc niedostatecznie jeśliby mu nie towarzyszyła specyalna, że się tak wyrazimy, fachowa edukacya służących.

Wola ludzka jest słabą i nie należy wprawiać ją w zbyt częste i przykre starcia z psującemi pierwiastkami, których pełnym musi być zawód wszelki należytą umiejętnością zasilany. Tam gdzie skutkiem niedostatecznej umiejętności pracowania w pewnym kierunku, zarobek jest do otrzymania trudnym, dorobek wszelki całkowicie niemożliwym, a zgoda i wzajemna życzliwość pomiędzy pracującymi i pracodawcami ustawicznie nadwerężaną i na szwank narażaną, moralizowanie najtroskliwsze choćby, na mało przyda się i nie przezwycięży złych pokus i namiętności, powstałych z nieprzyjaznego ścierania się interesów, z cierpień nad siły, z żądań bez zadowolenia.

Przed niedawnemi jeszcze czasy, szerokie w potrzebach swych i objawach, szumne i zbytkowne życie zamożnych ziemian naszych, gromadziło na licznych punktach kraju gromady ludu i kształciło je do przeróżnych posług i zatrudnień dworskich. Dwory wiejskie stanowiły tym sposobem rodzaj szkół z których rozchodzili się po kraju ukształceni służący. Dziś generacya we dworach wychowana i wyuczona dogorywa; szczątki jej tylko, toczone na wskroś zepsuciem, przez wiek zniedołężniałe, do obecnie istniejących stosunków zastosować się nie dające, błądzą jeszcze tu i owdzie, w gospodarstwach domowych więcej bruździąc niźli im dopomagając.

Dwory zaś wiejskie w znacznie odmiennych niż wprzódy postawione warunkach, do liczenia się z każdym niemal kęsem chleba zmuszone, szkołami być przestały i nie uczących się ale już wyuczonych pracowników potrzebują. Sposób więc ten fachowego kształcenia służących, wadliwy zresztą i wielce niedostateczny zawsze, dziś całkiem już nie istniejący, zastąpionym być powinien przez instytucyą umyślnie dla celu danego i z dokładną znajomością obecnych potrzeb społecznych zorganizowaną.

Zaczynając od rzeczy najpilniejszych bylibyśmy zdania, że przedewszystkiem myśleć należy o wytworzeniu szkół specyalnych dla kucharek i ogrodników. Dwóch tych rodzai służących, należycie ukształconych, niedostaje nam najzupełniej; a jednak pierwszy z nich najniezbędniejszym jest gospodarstwom miejskim, drugi wiejskim! Pierwszy z nich ścisły ma związek ze zdrowiem, dobrobytem i oszczędnością rodzin, drugi łączy się nierozdzielnie, oprócz korzyści i wygód prywatnych, z bardzo ważną gałęzią produkcyi krajowej.

Zawód kucharek zostaje dotychczas u pracujących kobiet w najwyższej pogardzie, uważanym jest za bardziej uciążliwy i upokarzający, nietylko już od wszelkich rzemiosłowych zatrudnień ale i od innych gałęzi służby domowej. A jednak wzięty sam w sobie i zważony na szali tak rozsądku jak ekonomicznych stosunków, dział ten pracy nie ma w sobie nic coby tak dalece pomiędzy innemi wyróżniać go miało. W czem znaleść można kryteryum wyższości dla zajęć pracownicy ślęczącej nad haftami lub sporządzającej odzież nad zajęciami tej, która sporządza pożywienie? Inny to tylko rodzaj trudów — cięższy ze strony jednej, łatwiejszy ze stron innych — nic więcej. Prawdziwa przyczyna niechęci i wzgardy dla zawodu tego poczuwanych tak przez pracujące jak przez pracodawców, spoczywa w najniższej skali umiejętnościowej pracownic. Sposoby jakkolwiek nie dość jeszcze liczne i rozpowszechnione, ale już istniejące specyalnego wykształcania się w szyciu, krawiectwie i haftach, dla sztuki kucharskiej nie istnieją wcale. Aby otrzymać najelementarniejszą jej znajomość trzeba przebyć najuciążliwsze stopnie służebnictwa, potem zaś, z niedostatecznem zawsze przysposobieniem pracując, otrzymywać płacę małą i pozycyą w domach pracodawców niską. Stan taki rzeczy podpiera przesądy i usuwa mnóstwo rąk zarobku potrzebujących od źródła, które dostarczyćby go mogło, te zaś ręce które z najostatniejszej już konieczności sięgać doń są zmuszone, wtrąca przez nieudolność w niezbędne upokorzenia, cierpienia, i w niebezpieczeństwo moralnego zepsucia. Działo się tak i gdzieindziej dopóki społeczeństwa, dobrze z organizowanem działaniem, nie naprawiły złego. Angielska autorka, pani Banżerett, wymieniając w dziele swem „O samodzielności kobiet“ najrozmaitsze gałęzie prac kobiecych, nie stawia bynajmniej na ostatniem miejscu tej o której mówimy. „Kobiety, pisze ona, które nie otrzymały naukowego ani rzemiosłowego wykształcenia, lekceważyć nie powinny zajęć kucharskich. Dawniej kobieta zamierzająca zostać kucharką, zmuszoną była przebywać stopnie najniższej posługi i długo spełniać same grube roboty; teraz jednak, wraz z powstaniem w Londynie szkół dla kucharek, dostarczoną została pracownicom sposobność podnoszenia się odrazu na wyższy szczebel zawodu, a sztuka kucharska pociągnęła za sobą osobistości wyżej usposobione moralnie i umysłowo, niż te które dotychczas z musu tylko garnęły się do niej. Najużyteczniejszemi jednak okazały się szkoły kucharskie dla kobiet należących do klasy czysto-wyrobniczej: nie jedna z nich bowiem za mało posiadająca sił wszelakich dla korzystnego i bezpiecznego przejścia ciężkiej edukacyi uprzedniej po domach prywatnych otrzymywanej, teraz złożywszy odpowiednią zapłatę wyuczyć się może doskonałego gotowania i znaleść natychmiast korzystne pomieszczenie.“

Niech nam wybaczą młode kobiety, panny mianowicie, ubrane w zrudniałe koki i spłowiałe tuniki, grubemi palcami przebierające po rozbitych klawiszach odwiecznych fortepijanów, straszliwą francuzczyzną kaleczące uszy tych, przed któremi z *wysoką edukacyą* swą popisać się pragną, zbijające bruki ulic i posadzki izb mających pretensyą być salonami w gonitwie za upragnionem małżeństwem, niech nam wybaczą panie te jeśli powiemy, że wolelibyśmy o wiele widzieć je przed ogniskiem kuchennem, pracowitemi dłońmi sporządzające dla siebie i bliźnich zdrowe i smaczne pożywienie, niż aby miały zawsze już, z pokolenia na pokolenie zabijać czas swój, serce, rozum i godność człowieczą w wyżej opisany sposób.

W jednem z większych miast Belgji widzieliśmy młodą 20-sto letnią dziewczynę, która będąc bliską krewną i wychowanicą właścicielki dużego hotelu i pięknego magazynu strojów, trudniła się przez pewną część roku posługami oddawanemi licznym hotelowym gościom.

Była to zdrowa, czerstwa flamandka, rumiana jak róża, wesoła jak dziecię uczciwej i korzystnej pracy. Ubiór jej codzienny składał się z wełnianej spódniczki, białego fartuszka i czepeczka, od rana do nocy prasowała, szyła, roznosiła śniadania, spełniała na mieście komisy gości. Mówiła bardzo ładnie po fla-

mandzku i francuzku, znała dobrze jeografiję i historyę, o graniu na fortepianie najlżejszego nie miała wyobrażenia, a myśl ustrojenia się w kok i tiunikę nie przychodziła jej nigdy do głowy. Od każdego z mieszkańców hotelu brała jako zapłatę po franku na dzień — tym sposobem składała sobie posag, lub, w razie nie wyjścia za mąż, środki dla jakiegoś *établissement* w przyszłości. Opiekunka jej, osoba zamożna, dała ubogiej krewnej wykształcenie do stanu jej odpowiednie; jeśliby nie mogła zatrudnić ją u siebie w domu, uczyniłaby z niej rzemieślniczkę lub kucharkę.

Jakiemi bywają u nas zajęcia, los, przyszłość dziewcząt w podobnem położeniu zostających: ubogich krewnych ludzi zamożnych, licznych córek urzędników spadłych z etatu, właścicieli ziemskich zubożałych i na bruku osiadłych, całem słowem klasy kobiet pozbawionych mienia, specyalnych uzdolnień i znajomości, twardych lecz zbawiennych prawd i powinności życiowych? Wszyscy o tem wiemy. Co kraj to obyczaj.

Osobną i nie krótką zaprawdę pracę poświęcićby trzeba dla przedstawienia szkód i niedogodności przez ogół nasz ponoszonych, w skutek szybkiego upadania jakiemu podlega u nas gospodarstwo ogrodowe. Utartym i nie pozbawionym prawdy komunałem stało się orzeczenie, iż kraj nasz jest przeważnie, powiadają niektórzy, wyłącznie rolniczym. Ogrodnictwo stanowi ważną gałęź rolnictwa, a jednak gdybyśmy ściśle policzyli się korzyściami dziś przez nią ponoszonemi, wyprowadzilibyśmy z rachunku naszego cyfrę nie wiele większą od zera. Każdy, choć trochę obserwujący odbywające się u nas gospodarskie procedera wie dobrze, iż zamiast wywozić na targi obcokrajowe produkta ogrodnicze, sprowadzamy je przeciwnie na targ nasz z obcych krajów, z wielkim kosztem i z żadnym pożytkiem. Cierpią na tem: bogactwo krajowe, publiczne zdrowie i wygoda. A jednak, o szkody te i straty winić nie można absolutnie producentów a raczej tych, którzy w wypadku tym producentami być powinni, to jest, właścicieli posiadłości ziemskich; starania ich bowiem, są utrudnione, zniechęcane, prawie niemożliwemi czynione przez brak ludzi fachowo w sztuce ogrodnictwa ukształconych. I zkąd wreszcie ludzie tacy powstawać dziś mogą? Dawniej, mniej lub więcej dobrze kształcili ich, jakeśmy już o tem wspomnieli wyżej, zamożne dwory wiejskie. Stawało się to przecież nieinaczej jak z pomocą znacznych kosztów, ryzyk, wyczekiwań których dziś ziemianie, w zmienionych warunkach bytu postawieni, ponosić nie są w stanie; tego zaś znikłego środka kształcenia nie zastąpił żaden inny. Trzeba znać zbliska i dokładnie życie wsi naszych, aby wiedzieć na jak niskim szczeblu umiejętności, biedoty tak moralnej jak materyalnej znajdują się dzisiejsi — ogrodnicy. Najpowszechniej są to ludzie którzy nie umieją nawet czytać. Cała kwalifikacya ich do zawodu któremu się oddają stanowi odrobina wiadomości rutynicznych, źle pojmowanych, leniwie stosowanych i siła fizyczna pozwalająca im kopać grzędy, które na traf szczęścia zasiewają roślinami, zaledwie z imienia im znanemi. Są to właściwie nie ogrodnicy ale po prostu parobcy, mianem tem, nie wiadomo dla czego obdarzeni. To też płaca jaką otrzymują i stosunek ich z pracodawcami, odpowiadają w zupełności mizernym tym, żadnym prawie fachowym kwalifikacyom. Pomimo że zawód ten uważany sam w sobie jest, z pomiędzy działów wszystkich domowej posługi, najprzyjemniejszym bezprzecznie, najobszerniejszym i najbardziej niezależnym w przywiązanych do niego czynnościach, ci którzy mu się oddają śmiało i bezwzględnie zaliczonymi być mogą do klasy wydziedziczonych. Tułający się, bo dla niedołężności swej wiecznie zewsząd odprawiani, troskami i włóczęgą do zidyotywania nękani, zamiłowania w pracy obowiązkowej i szacunku pracodawców pozbawieni, popadają oni tak jak i inni bracia ich po doli w nędzę, lenistwo, złe nałogi, w nieuleczoną a zjadliwą niechęć dla pracodawców, w chciwą i gorzką żądzę oszukiwania ich i wyzyskiwania.

Potrzeba założenia szkół ogrodniczych, nie dziś to po raz pierwszy w kraju naszym uczutą została. Projekt urządzeń edukacyjnych dla gubernii Wołyńskiej, datujący z pierwszych dziesiątków lat naszego stulecia a z przepyszną znajomością potrzeb krajowych i prawdziwie imponującą szerokością pomysłu przez Hugona Kołłątaja ułożony, zawiera w sobie niezmiernie szczegółowe i, jak nam się zdaje, praktyczne plany szkół fachowych, a pomiędzy niemi i szkół ogrodniczych (*). Punkt V-ty w paragrafie VIII projektu tego motywuje żądanie w sposób następujący: „Chcąc jak najbardziej pomódz do udoskonalenia ogrodnictwa i rolnictwa, w tym zwłaszcza kraju, gdzie pracom ręki ludzkiej dopomaga łagodne i przyjemne klima, ustanawia się przy każdej szkole powiatowej i przy każdej szkółce parafijalnej osobny ogród i t. d.“

W paragrafie VII wymienione są: *warunki promowania ogrodnictwa i rolnictwa praktycznego na ogrodnika aktualnego*: 1) powinien terminować przez lat 4 w ogrodzie gimnazyum. 2) Powinien złożyć egzamen przed nauczycielem ogrodnictwa i rolnictwa praktycznego i wziąść od niego świadectwo, iż z pożytkiem cały ten kurs odbył, na mocy którego rektor wyda mu patent z własnym podpisem i pieczęcią szkolną.“

Wielki Boże! coby to też słysząc warunki te powiedzieli quasi — ogrodnicy nasi, wędrujący od dworu do dworu, łachmanami prawie okryci, całe mienie swe na plecach noszący, jabłoń z gruszą i burak z kapustą zaledwie rozróżnić umiejący, nietrzeźwi często, za złodziejstwo ścigani nie rzadko, nieszczęśliwi, upokorzeni, zgnębieni własną nieudolnością swą — zawsze?

Wątpię— czy omylimy się twierdząc, że plan szkół ogrodniczych, taki jakim go w znakomitej pracy swej osnuł przed kilkudziesięciu laty, Hugo Kołłątaj, dziś jeszcze okazałby się bardzo praktycznym i zupełnie zadawalającym dla każdego, ktoby myśl fundowania szkół podobnych podniósł na nowo i uskuteczniać zamierzał.

Oto są w najpobieżniejszych zarysach projekty które przedstawiamy sumieniu, sercu i rozumowi społeczności naszej — w imię i na rzecz wydziedziczonych. Rodowód powstania ich w myśli naszej jest dwojaki; naprzód: głęboko smutny widok rojowiska ludzi pozbawionego oświaty, moralności, uciech prawych, zamiłowania w pracach swych, szacunku ludzkiego i nadziei lepszej przyszłości, toczonego zepsuciem i cierpieniami i wzajemnie przelewającej na klasy inne zepsucie, cierpienia i niedogodności wszelakie; następnie: to niezłomne przekonanie jakie mamy, że jedynym skutecznym środkiem uszlachetnienia i nowemi siłami wzbogacenia jakiegobądź zawodu, jest podniesienie skali towarzyszącej mu umiejętności a zatem zwiększenia sprawionej przezeń produkcyi i otrzymywanej za pracę zapłaty, tak w bycie materyalnym jak w szacunku publicznym, Innego środka nie ma. Ten jeden tylko mocen jest znieść pomiędzy klasami różnemi zbyteczne różnice, tchnąć w nie ducha sprawiedliwej i dobrze zrozumianej równości, stworzyć stosunek poufały i przyjacielski tam gdzie istnieje dziś niechętny i wzgardliwy, udzielić słowem dzisiejszym paryasom ciepłe i zaszczytne miejsca przy ogniskach domowych, a tym którzy ognisk tych są właścicielami, uszczęśliwiającą możność łączenia powagi zwierzchniczej z życzliwością braterską.

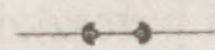
Przewidujemy że myśli te nasze spotkają się niechybnie z zarzutem, od niedawna w modę weszłym, projektomanji. Niech nam jednak wolno będzie wierzyć, iż na projektomaniję wyrzekać zwyczaj mają dwa tylko rodzaje ludzi: leniwych ospalców których świeże prądy myślowe niemile budzą ze snu samolubnego, i niecierpliwych zapaleńców którzy nie pojmując mozolnego wyrabiania się pojęć i stopniowego przeistaczania się ich w praktyczną rzeczywistość, wyobrażają sobie że przebudować świat można w pół godziny. Co do nas, rozumiemy dobrze trudną i powolną robotę czasu, wiemy jednak jakim jest w robocie ten podział zadań spełnianych przez myśl, słowo, czyn. Posiadamy przytem głęboką wiarę w moc słowa, którego źródłem dwoistem a przecież jednem w sobie są: serce i rozum, wiemy — że propaganda myśli jest orężem silnym, rozwidnia ciemne pojęcia i przeczucia ogółu, wyrozumowywa ślepe jego popędy, wzmacnia chwiejące się uczucia i prędzej lub później sprowadza spełnienie tego, co bez niej, nie zrozumiane i nie poruszone, spoczywałoby długo na dnie społecznem. Dla tego też nie podzielamy bynajmniej zdania tych, którzy wyrzekają na projektomaniję, i owszem lubimy obfitość wniosków wychodzących z jedynego źródła publicznej propagandy przez nas posiadanego, ze szpalt dzienników, cieszymy się z tej obfitości ilekroć ją spostrzegamy, bo jest nam ona świadectwem życia i obietnicą pożądanych napraw i postępów.



Ze Szkiców życia żołnierskiego,

EDMUNDA DE AMICIS.

(Przekład z oryginału włoskiego.)



Carmela.

I.

Zdarzenie które tu chcę opowiedzieć, miało miejsce na niewielkiej wysepce, odległej od Sycylji o jakie mil kilkadziesiąt. Była tam jedna wszystkiego osada, licząca niespełna dwa tysiące mieszkańców, a w niej, znajdowało się w czasie w którym mówimy kilkuset skazanych, wysłanych tam dla odsiedzenia kary. Z tego więc powodu, przebywał na wyspie, pod dowództwem oficera, oddział wojska złożony ze czterdziestu ludzi i zmieniany zwykle co trzy miesiące. Żołnierze wiedli na tej wyspie żywioł najrozkoszniejszy, pracy bowiem nie mieli żadnej, oprócz zaciągania warty w koszarach i przy więzieniu, oraz mustr od czasu do czasu odbywanych; wino zaś było w tej miejscowości bardzo tanie, a do tego wyborne. Bardziej jeszcze szczęśliwym, czuł się ich dowódzca; używał on nieograniczonej swobody, a przytem mógł jeszcze powiedzieć: jestem naczelnie dowodzącym siłami zbrojnemi całego kraju. Miał pod swymi rozkazami dwóch żandarmów, spełniających urząd przybocznych komendanta placu; zajmował, ma się rozumieć darmo, bardzo dogodne pomieszkanie w samym środku miasteczka, spędzał poranki na polowaniu w górach, poobiednie godziny w małej czytelni gdzie się zbierały wszystkie miejscowe znakomitości, wieczory zaś, w łódce na morzu; paląc wyśmienite a do tego trzygroszowe cygara, ubrany jak mu się podobało, zarówno wolny od form światowych, jak od władzy zwierzchników, rad i swobodny, jak ryba

(*) Ks. Hugona Kołłątaja korespondencya listowna z Tadeuszem Czackim. Kraków, r. 1844.

w wodzie. Jedna myśl tylko, zachmurzała mu nieco te dni słoneczne; było to przypomnienie że życie tyle szczęśliwe nie ma trwać dłużej nad trzy miesiące.

Osada owa a raczej miasteczko, leży nad brzegiem morza, i posiada małą przystań, do której przybijał w onym czasie, co dwa tygodnie, pocztowy parowiec, krążący pomiędzy Trapani i Tunisem. Rzadko zatrzymywały się tam inne statki, tak rzadko nawet, że pojawienie się każdego, zwiastowane bywało mieszkańcom odgłosem dzwonu; ludność miejscowa zbiegała się wtedy ku przystani z ciekawością, z jakąby się zbierała na uroczyste jakie widowisko.

Dom zajmowany przez dowódzcę oddziału, stał na placu od strony morza; że zaś poczynając od samego wybrzeża, poziom znacznie się podnosił ku miastu, z okien pomieszkania porucznika widać było oprócz przystani długi kawał brzegu, oraz morze i dalekie góry Sycylji.

Trzy lata temu, w piękny kwietniowy poranek, pocztowy statek dążący do Tunisu, stanął u wejścia przystani owej osady. Zaledwie się w dali dał spostrzedz, już dzwon rozkołysany na potęgę, zwabił na wybrzeże całą niemal ludność miejscową; był tam wojskowy dowódzca i nie mało żołnierzy, burmistrz ze swym przyjacielem sędzią, proboszcz, naczelnik straży bezpieczeństwa, poborca podatków, zarządzający przystanią, starszy żandarm, oraz młody lekarz wojskowy, przyłączony do oddziału dla obsługi więzienia — jednem słowem, wszystka śmietanka tamtejszego społeczeństwa. Gdy parowiec już stał w miejscu, dwie łódki podpłynęły ku niemu i zabrały z sobą trzydziestu dwóch żołnierzy od piechoty, wraz z oficerem, przystojnym, jasnowłosym młodzieńcem, ujmującej powierzchowności. Ten, na ląd wysiadłszy uścisnął rękę towarzysza broni, którego miał zastąpić, potem odpowiedziawszy uprzejmie na powitanie miejscowych dygnitarzy, wszedł do miasteczka na czele swego oddziału. Umieściwszy go w koszarach wrócił zaraz do kółka osób wyczekujących nań na placu, i te zostały mu z kolei przedstawione przez burmistrza, w sposób na wpół żartobliwy, na wpół poważny, tchnący przyjaźnią, poufałością, zaprawną jednak pewną miarę uroczystego nastroju. Po skończonym obrzędzie, garstka się rozsypała i wtedy oficer, pozostawszy sam na sam ze swoim kolegą, zaprosił tego ostatniego aby go zaprowadził do przeznaczonego mu mieszkania. Tam zastali obudwóch swych ordynansów, jeden pakował rzeczy swojego pana drugi mu zaś dopomagał, czekając chwili opróżnienia pokoju, dla otwarcia tłómoków swego porucznika. W godzinę potem, wszystko już było w porządku.

Oddział opuszczający wyspę, odpłynął tego samego wieczoru, żegnany na wybrzeżu przez nowo przybyłych towarzyszy; dopełniwszy tej uprzejmości względem swego kolegi, nasz porucznik wrócił do domu i spać się położył zmęczony podróżą i zajęciami dnia poprzedniego.

II.

Następnego poranku porucznik wyszedł z domu, zaledwie się słońce ukazało. Tylko co się poczynał w około siebie rozglądać, stanąwszy na placu, gdy w tem uczuł, że go ktoś z lekka pociąga za połę. Odwróciwszy się, ujrzał stojącą za sobą o parę kroków wyprostowaną w postawie salutującego żołnierza młodą dziewczynę z powichrzonym włosem, z odzieniem w nieładzie, szczupłą wysokiego wzrostu i kształtów cudownych.

— Czego sobie życzysz? — zapytał jej, z wyrazem zdziwienia i ciekawości.

Dziewczyna nic nie odpowiedziała, trzymając ciągle rękę przy czole z wojskowym ukłonem.

— Czegóż więc chcesz ode mnie? — spytał znowu dziewczyny.

Wyciągnęła rękę ku niemu i wskazując go palcem, rzekła z tęsknym uśmiechem i bolesnem westchnieniem.

— Ciebie chcę!

Porucznik poruszył ramionami, a dziewczyna zaczęła tupać nogami, targając sobie włosy, i wydając z piersi głos płaczliwy i jednostajny, przypominający skargę kapryśnego dziecięcia. Tymczasem ten i ów przechodząc placem, przystawał i spoglądał na nią ze śmiechem. Oficer popatrzał na tych ludzi, potem na młodą dziewczynę, wreszcie poszedł dalej. Minął swobodnie cały plac, ale doszedłszy do ujścia ulicy wiodącej ku morzu, usłyszał za sobą krok szybki i lekki, niby kogoś co bierzy na palcach, i gdy się zatrzymywał, głos cichy szepnął mu na ucho, z dziwnym jakimś dźwiękiem: — O mój ty skarbie jedyny!

Uczuł jak dreszcz go przejął od stóp do głów; nie spojrzał po za siebie, ale owszem poszedł dalej szybkim krokiem. I znowu ten sam głos powtórzył: — Mój skarbie jedyny!

— O, dajże mi pokój nareszcie — zawołał gniewnie zwracając się znagła ku dziewczynie, która zmieszana w tył się cofnęła. — Idź sobie w swoją drogę — czy mię rozumiesz?

Twarz młodej dziewczyny wyrażała pokorę i zakłopotanie; ale po chwili uśmiechnęła się, postąpiła o krok naprzód i wyciągając rękę ku młodemu oficerowi szepnęła słodko: — Nie gniewaj się na mnie mój dobry panie.

— Idźże, idź sobie, powiadam ci raz jeszcze.

— Tyś wszystkiem dla mnie.

— Odejdź ztąd zaraz, albo zawołam moich żołnierzy, żeby cię wsadzili do kozy. To mówiąc, wskazywał jej kilku żołnierzy stojących na rogu ulicy. Wtedy dziewczyna oddaliła się wolnym krokiem, oglądając się ciągle za oficerem, wyciągając ku niemu rękę od czasu do czasu i powtarzając półgłosem: — Mój skarbie jedyny!

— To wyraźnie waryatka! — mówił do siebie młody porucznik idąc dalej ulicą ku przystani; — taka śliczna dziewczyna, i rzucona na pastwę swego nieszczęścia!

Była piękna naprawdę zdumiewającą pięknością. Przedstawiała wzór skończony owej wyniosłej i pełnej ognia urody kobiet Sycylijskich, które miłość raczej nakazać niż natchnąć umieją. A wystarcza im na to nieraz jedno z owych spojrzeń wytężonych i płomiennych, któremi do najtajniejszych głębi twej duszy zdają się zaglądać i które tem mniej w tobie budzą śmiałości, im jej więcej same wyrażają. Oczy i włosy miała kruczej czarności, czoło szerokie i zadumane brwi i usta ruchliwe nerwowe, pełne wyrazu i życia. W głosie jej drżało lekkie zmęczenie które chwilami przygłuszało czyste jego brzmienie, śmiech miał coś w sobie konwulsyjnego. Po nim pozostawała przez chwilę z otwartemi ustami i oczami nieruchomo w jedno miejsce wpatrzonemi.

III.

— Czemuż jej nie trzymają w zamknięciu? — pytał tego samego wieczora porucznik, wojskowego lekarza, wchodząc z nim do arystokratycznej kawiarni miasteczka, po opowiedzeniu tego co mu się z rana zdarzyło.

— Gdzież ją tedy zamknąć? — odpowiedział tamten. Była przez rok cały w szpitalu, i to na koszcie miasta; ale w końcu, gdy się przekonano, że leczenie jej było próżną stratą czasu i pieniędzy, odesłano ją do domu. Nie ma dla niej prawie żadnej nadziei polepszenia, tu przynajmniej biedaczka swobodna jest jak ptak, i można ją na wolności pozostawić gdyż z wyjątkiem wojskowych, nie naprzykrza się nigdy nikomu.

— Dla czegóż wojskowi stanowią tu wyjątek?

— Każdy to po swojemu opowiada i każdy coś dokłada do dziejów przeszłości tej biednej dziewczyny. Zdaje się jednak, że rzecz tak się miała. Przed trzema laty młody oficer przysłany tu z oddziałem, tak samo jak pan obecnie, chłopak miły, bardzo przystojny, grający cudnie na gitarze i śpiewający jak artysta, pokochał tę dziewczynę, która była i jest dotąd najpiękniejszą z całej osady...

— Bardzo temu wierzę.

— Jej także głowę zawrócił, w części może swoją gitarą i śpiewem, bo tu w ogóle lud przepada za muzyką, w części skutkiem uroku wysokiego stanowiska swego a najbardziej zapewne tem, że był ładny chłopak, co się zowie. I jak się też w nim rozszalała! Miłość ta taką była, jaką tu nie rzadko napotkać; płomienna jak wulkan a w niej sceny zazdrości, spazmy, szalone gniewy; — słowem rzeczy do umieszczenia w dramacie. Z rodziny pozostawała jej tylko matka, potulna kobiecina, patrząca tylko oczami córki i wodzona od niej na pasku; wyobraź tedy sobie jakiej używała swobody. Poczynano o tem szeptać po miasteczku, ale z czasem przekonano się że w całej tej sprawie nic nie było zdrożnego. Rzecz to dziwna a nawet trudna do uwierzenia, a jednak wierzaj mi, że często spotykać tu można młode dziewczyny wielce swobodne w obejściu, nieustannie goniące za śladem tego którego ukochały, jak gdyby nie miały pojęcia o kobiecej skromności, a zarazem czyste, wytrwałe w cnocie, jak westalki starożytne. Koniec końcem, zdaje się rzeczą pewną, że ów oficer przyrzekł ją poślubić, i ztąd radość jej dochodziła do szaleństwa. Ale nie zawsze objawiała się jej miłość samą radością. Pewnego dnia, gdyby jej z rąk nie wychwycono jakiejś dziewczyny o którą była zazdrosną, kto wie coby z nią zrobiła. Działo się to właśnie tu przed oknami tej kawiarni, pamiętam jak dzisiaj. I czy to raz tylko zdarzyło się coś podobnego? Ale w ostatku nadeszła chwila zluzowania oddziału; porucznik przyrzekł że powróci za parę miesięcy; dziewczyna mu uwierzyła — odjechał i tyle go widziała. Zachorowała biedaczka niebezpiecznie. Być może, że gdyby wróciwszy do zdrowia przyszło jej utracać po trochu z dniem każdym, tę odrobinę nadziei która się w niej jeszcze kołatała, potrafiłaby z czasem zapomnieć; ale zanim jeszcze siły odzyskała, dowiedziała się, nie wiem jakim sposobem, że kochanek jej ożenił się. Cios ten uderzył w nią niespodziewanie; był on straszliwy, utraciła zmysły — oto całe jej dzieje.

— I cóż potem?

— Potem, jak to już powiedziałem, odesłaną została do Sycylji, dla pomieszczenia jej w szpitalu; następnie ją odesłano z powrotem, i znajduje się tu od roku już przeszło.

W tej chwili, żołnierz jakiś wszedł do kawiarni, szukając lekarza dla chorego.

— Opowiem panu resztę inną razą — rzekł ten odchodząc. Do zobaczenia.

IV.

Matka Carmeli mieszkała na samym końcu osady w małym domku, a raczej w chatce zajmowanej przez kilka ubogich rodzin włościańskich. Utrzymywała się z szycia bielizny, w początkach, gdy córka jej utraciła zmysły, dostawała od czasu do czasu pewien zasiłek od zamożniejszych mieszkańców miasteczka, ale z czasem, i ci zupełnie o niej zapomnieli.

Może też dobroczyńcy owi, zrazili się widząc bezskuteczność swej pomocy; obłąkana bowiem za nic nie chciała jadać w domu, ani tam nocować, i nie było także sposobu nakłonić ją do zaszanowania nowego odzienia, choćby przez tydzień. Ma się rozumieć iż matka cierpiała na tem srodze, i usiłowała wszelkiemi sposoby z niestrudzoną wytrwałością, wyprosić u córki jakąkolwiek przemianę na lepsze; ale błagania jej zawsze były daremne. Czasami Carmela dawała się namówić po długich naleganiach, na włożenie sukni porządniejszej, ale zaraz potem, poczynała ją szarpać na sobie, krajać w kawałki, i nie przestawała aż dopóki nie obróciła jej w strzępy i w łachmany. Inną razą, zaledwie wyszła z rąk matki umyta i uczesana jak należy, czochrać sobie poczynała włosy z całej siły i w jednej chwili stawała się raczej podobna do furyi, jak do ludzkiej istoty.

Większą część dnia wałęsała się zwykle po najbardziej samotnych i dzikich urwiskach, mówiąc do siebie, śmiejąc się na głos i machając rękami. Zdarzało się nieraz żandarmom przechodzącym tamtędy, widywać ją z daleka pilnie zajętą budowaniem wieżyczek z kamieni, lub też siedzącą nieruchomie na wierzchołku skały, z twarzą zwróconą ku morzu, czasem także leżącą uśpioną na ziemi. Jeżli ich dostrzegła, wiodła wzrokiem za niemi, dopóki nie zniknęli, nie odpowiadając ani słowem, ani uśmiechem, gdy się do niej odzywali. Niekiedy tylko, kiedy już bardzo byli daleko naśladowała rękami ruch takiego, co kogoś na cel bierze i strzelała niby za niemi ale z twarzą całkiem poważną. Tak samo bywało z żołnierzami; nikt nigdy nie widział aby z którym mówiła lub żartowała; żadnej na nich nie zwracała uwagi. Przechodziła pomiędzy nimi, nie odpowiadając ani słowa jeźli do niej przemawiali, nie patrząc żadnemu w oczy. Żaden też nie ośmielił się nigdy dotknąć jej choćby palcem, lub drogę jej zastępować wiedziano bowiem że w podobnych razach umiała ślady swej ręki zostawić na twarzy zuchwalca.

Gdziebądź się znajdowała, zaledwie ją doszedł odgłos bębna, nadbiegała natychmiast. Gdy żołnierze wychodzili z miasteczka, by iść odbywać musztrę na wybrzeżu, szła tam za nimi. Podczas gdy sierżanci kierowali obrotami, pod okiem oficera stojącego nieco o podal, usuwała się na stronę, i tam naśladowała jak najpoważniej ruchy żołnierzy, trzymając kij w ręku w miejsce karabina i powtarzając ścicha komendę. Potem ni ztąd ni zowąd, rzucała swój kij, i poczynała krążyć około oficera, uśmiechając się wdzięcznie do niego, i dając mu najczulsze nazwiska, ale zawsze po cichu i zakrywając sobie usta ręką, ażeby jej żołnierze nie dosłyszeli.

Kiedy znajdowała się w miasteczku, przebywała zwykle na placu, przed mieszkaniem porucznika, otoczona ulicznikami, których zabawiała przeróżnemi konceptami. Czasem urządziła sobie z papieru kapelusz z szerokiemi skrzydłami, i kładła go sobie na bakier, potem, opierając się na grubym kiju i mówiąc przez nos, naśladowała postawę i głos burmistrza. Czasem znowu, upstrzywszy sobie włosy jakiemi strzępami spuszczając skromnie oczy, i poruszając rękę jak gdyby się wachlowała, przedrzeźniała ruchy znaczniejszych pań miejscowych, gdy idą w święto do kościoła. Inną razą, zabrawszy z ziemi przed bramą koszar, starą czapkę wojskową wyrzuconą na śmiecie, nasuwała ją sobie na głowę aż po uszy, schowawszy w nią włosy, i wtedy trzymając po żołniersku ręce przy bokach, obchodziła plac parę razy, krokiem wolnym i miarowym, naśladując głosem bębnienie, z twarzą surową, energiczną — niby szeregowiec najcelniejszej próby. Ale co bądź robiła albo mówiła, mało się tem ludzie zaprzątali, Dzieciaki z ulicy, bywały jedynemi widzami wyprawianych przez nią widowisk, a tych nawet matki upominały, by się za nadto do niej nie przybliżały, odkąd pewnego razu, wbrew swemu zwyczajowi i nie wiedzieć zkąd, uchwyciła małego siedmioletniego chłopaczka, najpiękniejszego z pomiędzy dzieci co się w koło niej zebrały, i tak go szalenie poczęła ściskać i całować, że biedaczysko płakać zaczął i wrzeszczeć na całe gardło, myśląc w swem przerażeniu że go chce waryatka na prawdę udusić.

Czasami, ale bardzo rzadko wchodziła do kościoła. W tedy klękała, i złożywszy ręce jak inni, szeptała coś po cichu, ale po kilku chwilach śmiać się poczynała i przybierała postawę pocieszną lub też zuchwałą, tak iż kończyło się zawsze na tem, że ją musiał zakrystyan wyprowadzić z kościoła.

Miała głos piękny, i dopóki była przy zdrowych zmysłach, śpiewała wcale ładnie; ale odkąd się jej myśli poplątały, zarzucała wszystkie dawne piosenki, dla jakiegoś niewyraźnego i jednostajnego nucenia którem bawiła się zwykle, siadając na progu swego domku i zajadając figi, stanowiące, prawie wyłącznie jej pożywienie.

Miewała jednak swoje godziny posępnej zadumy, w których ani się śmiała, ani też odzywała do nikogo; wtedy siadywała przykurczona jak pies przede drzwiami swojej chaty, otuliwszy się fartuchem i zarzuciwszy chustkę na głowę; ani się z miejsca ruszając, choćby nie wiem jaki usłyszała hałas, i choćby ją po imieniu matka wołała. Ale to się bardzo rzadko zdarzało; zwykle bywała wesołą.

Nieraz zapytywano ją o cośkolwiek dotyczącego jej przeszłości; w takich razach, zdawała się nic nie rozumieć i nic nie pamiętać; słuchała bardzo uważnie, a potem parskała śmiechem. Gdy jaki oddział opuszczał wyspę, odprowadzała go do przystani i żegnała długo jeszcze odpływający statek, machając chustką; nie płakała jednak wtedy i niczem żalu nie okazywała. Za chwilę, już szła za śladem nowo przybyłego oficera, i rzecby można że się jej ten podoba więcej jeszcze od każdego ze swych poprzedników.

(d. c. n.)

Przegląd literacki.

Bóg w przyrodzie

przez Kamila Flammariona. Przekład z francuzkiego. Warszawa 1875. Nakład M. Orgelbranda.

Znany astronom Flammarion słynie we Francyi, jako pisarz popularny, umiejący najzawilsze przymioty ze sfery nauk ścisłych traktować w sposób przystępny, niemal lekki. Nadto uczony ten należy do obozu pisarzy, nie wyrzekających się serca i uczucia, przeciwnych zimnemu i nagiemu materyalizmowi, który w pojęciu garstki takich badaczy jak np. Virchow, Vogt, Büchner, Moleschott, Haekel i t. p. nieodłączny jest od nauk ścisłych. Dla tych to właśnie zalet i z powodu swojego kierunku Flammarion znanym jest u nas z przekładu dzieł „O wielości światów" (La pluralité des mondes) i Życia Kopernika.

Nie można zaprzeczyć, że uczucie i wyobraźnia czasem zajmują zbyt wybujałe, górujące stanowisko w dziełach Flammariona; wszelako, sądząc najbezstronniej, każdy przyzna, że ten żywioł rzadko doprowadza autora do budowania dowolnych i nieuzasadnionych hypotez, jeszcze rzadziej zakłóca wierność podawanych przez niego naukowych danych, a nigdy prawie nie wpływa na jego bezstronność, nie czyni go ślepym lub niesprawiedliwym na zarzuty przeciwników. Lekkie pióro Flammariona czasami tylko używa poetycznych upiększeń; rozumowe dociekania i suchy materyał faktów, ożywione zacną dążnością i ciepłem uczucia, przedstawiają się potętniej, niby przez szkła kolorowe widziane, lecz to upiększenie tyczy się bardziej formy, nie staje się nigdy wykrętną sofistyką ani przewrotną złej wiary jednostronnością. Łatwość, z jaką autor włada przedmiotem, dowodzi jego gruntownej nauki, a sam ów styl lekki i barwny, zaprawiony tu i owdzie francuzkim dowcipem, czyni jego prace zajmującemi i przystępnemi.

Wszystkie te zalety i wady (jeśli to, cośmy wyżej powiedzieli, może uchodzić za wadę) odnajdujemy w dziele o którem mamy mówić.

Zadaniem dzieła, według słów autora, jest „zestawienie tego wszystkiego, do czego rozum nasz doszedł w poznaniu przyrody i człowieka" i to w tym celu, ażeby wykazać, że ostatnie wyniki badań w dziedzinie nauk ścisłych nietylko że nie doprowadzają do zaprzeczenia istnienia Boga, lecz przeciwnie, w ostatecznym rezultacie właśnie do uznania Istności Najwyższej prowadzą. Dotychczas bowiem zdarzało się najczęściej, jak mówi autor, że istnieniu Boga przeczyli zwolennicy nauk, a uznawali go ludzie obcy ruchowi naukowemu. Autor nie chce ani ślepej wiary teologów, dobrej według niego, w wieku XVI, ani oświeconej niewiary tych, którzy dziś już mają się za przedstawicieli przyszłości, za wyobrazicieli ducha wieku XX.

Teologowie niepotrzebnie dziś jeszcze odgradzają się od nauk ścisłych i wystawiają swą wiarę, jako coś od nich odrębnego, a nawet sprzecznego; z drugiej strony, badacze przyrody mylnie uważają niewiarę, za konieczny wypadek swoich poszukiwań. Wiara w Boga, powiada Flammarion, nie boi się światła nauki i owszem, można zapytać o Boga światy i dojrzeć go w przyrodzie.

W tym właśnie celu autor przedsięwziął ustalić naprzód przez obserwacye ruchów niebieskich, a potem świata nieorganicznego ziemskiego ten pewnik, że siła nie jest własnością przyrody, ale przeciwnie, jej władczynią i rządzącą przyczyną. Następnie zamierzył on przez zbadanie fizyologiczne istot okazać, że życie nie jest przypadkową własnością cząstek te istoty składających, ale specyalną siłą, opierając się przy tem na badaniu rozwoju gatunków. Następnie rozważając stosunek mózgu do myśli, autor ma dowieść, że oprócz materyi jest jeszcze coś innego w człowieku i wykazać osobistość duszy, jej samodzielny i niezależny charakter. Dalej chce wykazać w świecie rozumne plany i cele, pośród których nieuprzedzone oko musi podziwiać potęgę, mądrość i przezorność myśli, która świat urządziła. Ostatecznie ma streścić i zestawić te pojęcia o Bogu, do których powyższe badania doprowadzają. Tak więc całe dzieło rozpada się na pięć części czyli ksiąg, z których pierwsza nosi nadpis: Siła i Materya; druga Życie; trzecia Dusza; czwarta O przeznaczeniu istot i rzeczy; piąta Bóg. Wszędzie autor trzyma się gruntu naukowego, nie zamilcza ani faktów i wyników, które istotnie do pewnej wątpliwości prowadzą, ani dowodów swoich przeciwników; owszem, używa własnej broni materyalistów i bezbożników, idzie drogą ich własnych rozumowań ażeby wykazać ich bezzasadność, ażeby przekonać bezstronnego człowieka, że owe fakta i oparte na nich rozumowania, bynajmniej nie prowadzą do zaprzeczenia duszy i Boga.

Rozpatrzmy się teraz po krótce w treści dzieła i zaznaczmy ważniejsze zawarte w niem dowody.

W księdze pierwszej autor poddaje krytyce mniemania materyalistów, którzy materyi przypisują siłę. Wychodzą oni przeważnie z twierdzenia, że ponieważ w świecie panują prawa konieczne i niezmienne,

przeto nie może istnieć nic oprócz materyi, a tem mniej można przypuścić istnienie najwyższego kierującego rozumu. Przywódca materyalistów Büchner mniema, że tam, gdzie rządzą prawa niezmienne, nie może rządzić rozum najwyższy, gdyż jedno z drugiem byłoby w ciągłej zwadzie. Tak samo Moleschot sądzi, że prawo konieczności nie da się pogodzić z przedwiecznym rozumem, gdyż w razie gdyby ten ostatni światem rządził, panowałaby w nim przypadkowość i samowola. Flammarion wykazuje niedorzeczność podobnych dowodzeń: śmieszną byłoby rzeczą utrzymywać, że przyczyna dla tego istnieć nie może, że pozostaje w zupełnej zgodzie ze swojemi prawami. Büchner i Moleschott utrzymują że gdyby Bóg światem rządził, panowałyby w nim dowolność i samowola, lecz wkrótce potem, występując przeciwko cudom, sądzą sami, że dowolność i samowola nie mogą się pogodzić z pojęciem Najwyższej Istoty: przeczą więc sami sobie, gdyż z tego, co mówią o cudach, wynika, że idea niezmienności i prawidłowości daleko łatwiej da się pogodzić z idealną doskonałością Najwyższej Istoty niż zmienność i dowolność, które materyaliści narzucają i zarzucają pojęciu o tej Istocie. Nie ma więc zdrowej logiki w tak pospolitem dowodzeniu: „wszystko w świecie dzieje się podług pewnych praw, a więc Bóg istnieje, gdyż owe prawa dowodzą istnienia kierującej światem najwyższej potęgi i najwyższej mądrości. Nadto materyaliści sądzą, że Bóg, jeżeli istnieje, musiałby istnieć po za granicami świata, ani rozum zaś ani badania naukowe nie dają nam wyobrażenia, co to takiego może być po za granicami świata. W tym punkcie nawet spierać się nie warto, bo skoro samych granic świata czy wszechświata (światów) nikt jeszcze nie wykrył i nie zakreślił, czczą więc będzie kwestya, czy cokolwiek po za granicami świata może lub nie może się znajdować. My, z ludzkiego punktu widzenia upatrujemy działalność Boską w świecie, dla naszych zmysłów i dla naszego rozumu przystępnym a przecie i wiara chrześciańska uczy, że Bóg jest wszędzie i na każdem miejscu. Zresztą umiarkowańsi z pomiędzy materyalistów sami mimowolnie uznają Boga, choć unikają tego imienia; tak np. Strauss mówi o „rozumie przebywającym w siłach kosmicznych."

Dalej autor zajmuje się zbijaniem twierdzenia, że siła jest własnością materyi. Stronnicy tego poglądu rozumują tak: „napotykamy zawsze razem siłę i materyę, a więc siła jest własnością materyi". Wniosek fałszywy, logicznie nieupoważniony. Nadto samo zastanowienie się nad bezwładnością i biernością materyi doprowadza nas do uznania siły kierującej, leżącej na zewnątrz materyi.

Co do układu i harmonii wszechświata, materyaliści, którzy nie wiele dbają o sprzeczności i łatwo sami siebie zbijają, pomimo że prawią o wiecznych i niezmiennych prawach, zaprzeczają jednak rozumnych cech porządku świata, widzą w naturze nieregularność, przypadkowość i nieład. Oświadczają oni, że nie masz w naturze śladów działania wyższej inteligencyi i że nie masz inteligencyi wyższej nad ludzką. Zastanawiając się nad tym obłędem, Flammarion słusznie robi tę uwagę, że niepodobieństwem jest, ażeby nie było rozumu i inteligencyi, choćby tylko ludzkiej wyrównywającej w prawach i urządzeniach, które rozum ludzki wykrył po długich mozołach, po kilkudziesięcioletnich pracach takiego np. Kopernika, Galileusza lub Newtona. Więc najwyższe wysiłki rozumu ludzkiego zdobyły wykrycie praw, w których nie masz nic rozumnego? Nadto, że rozum ludzki nie jest najwyższym w naturze, widać to już z tego, że wielu rzeczy on pojąć nie zdoła i na każdym kroku czuje swoją nieudolność. Materyaliści czynią niekiedy śmieszne zarzuty obrońcom boskich rządów w przyrodzie: jeden np. zapytuje, dla czego światło przebiega tylko 77,000 mil w sekundę, dla czego księżyc raz tylko obraca się około osi w ciągu swej wędrówki około ziemi i t. d. Tem samem stwierdzają to tylko, że rozum ludzki wielu rzeczy w ustroju wszechświata nie pojmuje, ale czy to dowodzi, że światem nie kieruje rozum od ludzkiego wyższy? Zdaje się że przeciwnie, z samych powyższych zarzutów płynie dowód, że taki wyższy rozum istnieje, ale jednostronni materyaliści tego widzieć nie chcą. Büchner zapytuje nawet, dla czego Stwórca nie wypisał ognistemi głoskami swego imienia na firmamencie? (zapewne po niemiecku).

Przechodząc w szczególności do układu praw fizyczno-chemicznych ziemi, autor wykazuje i tutaj rozumną prawidłowość. Niektórzy materyaliści—rzecz szczególna — zaprzeczają istnieniu rozumnych praw dla tego, że do ich poznania dochodzimy przez doświadczenie. Znowu tu nielogiczność, gdyż podobnie należałoby np. odrzucić wszelkie prawa języka, dla tego że gramatyka wykrywa je dopiero przez doświadczenia i spostrzeżenia nad językiem czynione. Flammarion uważa *liczbę* za podstawę porządku fizyczno-chemicznego, wznawiając zasadę dawnych pitagorejczyków: „numerus regit mundum" (liczba rządzi światem). Otóż liczba nie może być w żaden sposób własnością martwej materyi. Dalej nawet dźwięk, światło, elektryczność i t. d. nie należy do materyi, gdyż nowsze badania wykazały, że są to tylko rozmaite odmiany ruchu. Któż więc urządza jeden rodzaj ruchu dla dźwięków, a drugi dla światła? Czy jest podobieństwo, ażeby sama materya je odróżniała? Czy nie nastąpiłoby splątanie i pomieszanie tych rodzajów ruchu, gdyby nie kierowała nimi siła najwyższa, ponad nimi stojąca? Tej kwestyi materyalizm również nie chce zrozumieć.

Natomiast lubują się oni cynicznymi obrazami: tak np. zapach kwiatów, którym rozkoszują się ludzie, porównywają do sekrecyi zwierzęcych (str. 77).

Autor przytacza zarzuty, których już przed stu laty używano przeciwko ojcu materyalizmu XVIII wieku Holbaesowi i jakim sposobem ślepa bezrozumna materya mogłaby dążyć do pewnego rozumnego celu? Jak mogłaby ona, będąc sama bezrozumną, wydać istoty rozumne, jak np. ludzi. Jakim sposobem wspaniały porządek może panować pomiędzy jej częściami, jeżeli ona sama porządku nie zna? i t. d.

W drugiej księdze autor przeważnie zajmuje się pytaniem, co jest życie i bada, czy połączenia chemicznych pierwiastków i atomów, same przez się zdolne są wytworzyć istoty żyjące. W samej nawet naturze nieorganicznej zupełnie te same pierwiastki, albo z nieznaczną różnicą, wytwarzają ciała zupełnie odmienne. Tak np. bezbarwny i świetny dyament jest to czysty węgiel i co do składu nie różni się niczem od zwyczajnego węgla drzewnego; dalej, te same chemiczne pierwiastki, jak węgiel, tlen, wodór, azot i t. d., w rozmaitych połączeniach dają raz rzeczy najpożywniejsze, jak zboże, pokarmy i t. d, to znowu gwałtowne trucizny jak strychnina; chemiczny skład cukru różni się od składu drzewa tylko jedną nieznaczną cząstką wody i t. d. Takie dziwne objawy, dla chemika zagadkowe, dają się tylko tłomaczyć tem, że jakaś wyższa siła kształtuje wszystkie pierwiastki chemiczne, nadając im odmienne pozory.

Zastanawiając się nad zjawiskami życia ludzkiego, Flammarion przytacza spostrzeżenie, że ciało ludzkie odnawia się zupełnie w ciągu czasu od 3 tygodni do 1 miesiąca, tak, że ciało dziecka zarówno jak starca, nigdy nie liczy więcej nad miesiąc czasu, a jednak mamy poczucie stałości naszego *ja*, wiemy żeśmy ci sami co przed 5, 10 laty i t. d. Dowodzi to, że w człowieku jest coś więcej oprócz materyi. Flammarion skłania się ku uznaniu wyśmianej przez materyalistów siły życiowej i idąc za Arystotelesem w tej sile widzi właśnie duszę. Zapytuje on także przeciwników, kto utrzymuje ową równowagę w stanie ciała, która nazywa się zdrowiem? Dla czego ciało nasze, po dwudziestym roku życia, chociaż przyjmuje tyleż pierwiastków pożywnych z pokarmów i powietrza, co i przedtem, jednakże już rosnąć przestaje?

Materyaliści, jak Mulder, mówią tylko o działaniu i ruchach pojedyńczych narzędzi, odrzucając siłę życiową. Porównywa on szyderczo tę siłę do siły, którą chciałby ktoś przypuścić strzelającą z dział i t. d. w bitwie stoczonej przez tysiące ludzi. Wszelako to porównanie niezbyt jest pomyślne dla materyalizmu i właśnie że i w bitwie potrzebny jest wyższy rozum — kierunek wodza; on to stacza i wygrywa bitwy. Tak samo ma się rzecz i z człowiekiem.

Mówiąc o wytwarzaniu drogą sztuczną rozmaitych substancyi, autor przytacza z uznaniem pomyślne próby chemików, którym powiodło się wytworzyć sztucznym sposobem alkohol, cukier i t. d., ale nie podziela wniosków, które zawcześnie tryumfujący materyalizm pragnąłby z tych faktów wyciągnąć. Sądzą oni mianowicie, że powyższe próby dowiodły stanowczo, iż w przyrodzie martwej czyli nieorganicznej działają te same siły co w żyjącej czyli organicznej, a więc że właściwie nie masz różnicy między przyrodą martwą i żyjącą, a więc wszędzie jest życie jednakowe i żadna obrębna siła życiowa lub duchowa nie istnieje. Wniosek błędny, jak tego dowodzą liczne fakta przez autora przytaczane: te same materye inaczej np. działają na organizm żyjący niż na martwy; pokarmy wprowadzone do żołądka trupa nie wywołują tam bynajmniej takich skutków, jakie sprawiają w żołądku człowieka żyjącego; dla czego ipekakuana sprawia kurcze żołądka i organów oddechowych, dla czego i jak działają zabójczo niektóre trucizny roślinne, nie pozostawiające w ciele żadnego śladu — chemicy wytłomaczyć nie potrafią. Poprzestają oni na frazesie „działanie obecności" ale ten frazes nic nie wytłomaczy. Ostatecznie Flammarion sądzi, że należy odróżniać siły chemiczne od fizyologicznych i pierwsze niewątpliwie są jednakowe jak w nieorganicznej tak i w organicznej przyrodzie, lecz siły fizyologiczne w martwej nieorganicznej przyrodzie nie działają, gdyż są wynikiem wyższej siły życiowej, to jest ducha. Co się zaś tyczy owego *wytwarzania* przez chemików rozmaitych materyi, autor słusznie sądzi, że *wytwarzania* tu nie ma i jest tylko *rozkładanie*, *wyciąganie* tej lub owej substancyi z połączeń i związków danych w naturze. Niech materyaliści wytworzą jaki *nowy pierwiastek*, w naturze nie istniejący, niech wytworzą choćby z danych pierwiastków, istotę żyjącą, choćby najniższą jak np. żyjącego robaczka, niech zresztą zrobią *organ* żyjący i prawidłowo funkcyonujący, choćby listek drzewny, a wtedy uwierzymy, że nie masz nic oprócz materyi, że siła życiowa i duch nie istnieją.

Powyższe roztrząsania stanowią dla autora przejście do kwestyi samorodztwa. Już w odległej starożytności mniemano, że żyjące istoty, a nawet ludzie, mogą powstawać same przez się z mułu, z błota, ze zgnilizny, wody i t. d. Tu należy także owa słynna sofistyczna zabawka z kwestyą, co wcześniej powstało, kura czy jajko. Jeszcze przed dwoma wiekami poważni uczeni mniemali, że jeźli np. włożymy brudną koszulę do garnka z ziarnkami pszenicy, to pszenica po 21 dniach przeistoczy się w żyjące myszy!

Nawet Buffon sądził jeszcze (jak to i dziś prostaczkowie przypuszczają) że robactwo powstaje ze zgniłego mięsa. W ostatnich czasach liczne doświadczenia, szczególniej przez francuzkiego chemika Partcusa wykonane, ostatecznie stwierdziły, że wszel

kie żyjące istoty, powstające w wodzie, w gnijących materyach i t. d. powstają nie z wody ani ze zgnilizny lecz z jaj i zarodków, które dostały się do tych materyi z powietrza lub zostały złożone przez same żyjące istoty. Sami materyaliści, pomimo że pragnęliby dowieść samorodztwa, przyznają że dotychczas fakta i spostrzeżenia mówią przeciwko tej hypotezie. Flammarion mniema nawet, że gdyby kiedykolwiek tak zwane samorodztwo i było dowiedzione, nic by to nie zachwiało wiary w najwyższą potęgę, z woli i za zrządzeniem której z niższych pierwiastków i tworów rozwijają się i powstają wyższe. Nie ma bowiem konieczności przypuszczać, że Stwórca za każdym razem oddzielnie tworzył i twory każdą żyjącą istotę: mógł on raz nadać prawa i popęd tworzenia się istot. Flammarion przytacza, że nawet niektórzy ojcowie kościoła byli tego zdania i uznawali tak zwane samorodztwo, które w takim razie nabiera zupełnie innego znaczenia niż przypisywąne mu przez materyalistów.

Dla tych samych przyczyn Flammarion mniema, że i tak głośna obecnie hypoteza Darwina o stopniowem rozwijaniu się gatunków, chociaż pozostaje dotąd niedowiedzionem przypuszczeniem, bynajmniej jednak nie sprzeciwia się wierze Boga, jak to i sam Darwin wyraźnie oświadcza. Poprzednik Darwina Lamarck mniemał nawet, że przeradzanie się gatunków trwa ciągle, to jest że twórczość boska trwa wiecznie. Darwinizm bynajmniej nie sprzeciwia się boskiej twórczości, i tylko krańcowi zwolennicy mistrza wyprowadzili z tej teoryi ateistyczne i materyalistyczne wnioski. Kończąc roztrząsanie tego przedmiotu, Flammarion powiada: „że życie objawiło się na ziemi, że rozwinęło się podług praw organicznych, i że od rośliny do człowieka stworzenie przedpotopowe stanowiło tą samą jedność, w czemże ta hypoteza narusząć może działanie Boga. Tu, jak wszędzie, czyż materya nie była posłuszną jego siłom? Tu, jak wszędzie, czyż materya nie była niewolnicą, a siła władczynią? Przypuszczając nawet najobszerniejszy wpływ otoczenia na przeobrażenie organów, czyż to przeobrażenie nie jest zawsze skutkiem życia i to życia rządzonego inteligencyą?... Sami materyaliści, chcąc aby materya była zdolną do wszystkiego, podstawiają za nią siłę, sami się tego nie domyślają. Wyrazy *siła* i *życie* jeszcze u Greków były podobne, niemal jednoznaczne, bo od jednego pierwiastku urobione (*bios* i *bia* str. 198—199)."

(d. n.)

GOSPODARSTWO DOMOWE.

Ulepszona samodziałająca maszynka do robienia lodów.

Wielki zachód a nadewszystko kilkogodzinne bezprzestanne zajęcie z kręceniem lodów, tę najlepszą ochłodę w lecie, a może i jedno z tańszych dań, rzadkim gościem na stołach naszych robiło. Kłopotowi temu poradził przed kilką laty, wynalazek maszynki pospiesznej, wypełnionej stosownemi solami chemicznemi, którą wszakże chociaż nie zbyt długo, zawsze jednak kręcić trzeba było. Nowa maszynka jaką oglądaliśmy, tę niedogodność usunęła, całe utrudzenie gospodyni ograniczając na przyrządzeniu obu mas, mrożącej i słodkiej na lody przeznaczonej, reszta się już samodziałaniu maszynki zostawia. Nie wielka ilość lodu, który nawet gradem lub śniegiem zastąpić można, a nadewszystko iż tylko prosta sól kuchenna, jedynym jest koniecznym czynnikiem do utworzenia oziębiającej masy, nie pomierną zaletę tej maszynki stanowi. Po ukończonej robocie lodów, rozpuszczona w wodzie sól, wyborną może stanowić krasę karmy bydła lub owiec, i tym sposobem nie marnując się bezpożytecznie, umniejszy wydatek na lody podjęty.

Maszynka zewnętrznego pozoru prostego kubełka cylindrowego szczelnie zamkniętego, ma zewnątrz podwójną ścianę wypełnioną złym przewodnikiem ciepła; naczynie z blachy sitkowej które się wstawia, służy do przyjęcia mrożącej massy, w niem jeszcze znajduje pomieszczenie jedno naczynie stożkowego kształtu w którem się krem zamyka. To wszystko szczelnie osłania pokrywa złożona z dwóch części.

Przygotowana na lody masa wlewa się do naczynia stożkowatego, które się w chłodnem miejscu zostawia dopóki cały aparat nie będzie stosownie przygotowany. Dalej napełnia się naczynie sitkowe grubo ziarnistą solą, poczem należy w osobnem naczyniu przyrządzić silnie mieszając rozczyn soli, używając na kwartę wody funt soli. Nareszcie kawał lodu tłucze się drewnianym młotkiem, najlepiej w worku na drobne kawałki, i sypie się je między zewnętrzną ścianę maszynki, aż do miejsca naznaczonego $^5/_7$ całej wysokości wynoszącego. Umieszczony lód oblewa się nader szybko rozczynem soli, tak jednak aby jego przybycie znaku nie przestąpiło, i ostrożnie wstawia się naczynie z masą na lody przeznaczoną. Masy oziębiającej powinno się wtedy przelać, jako dowód że maszynka zupełnie jest nią wypełniona. Nakrywszy następnie maszynkę pozostawia się ją w spokoju, zajrzawszy jednak w jakie 10 minut, i oskrobawszy ze ścian naczynia przymarzłą masę, wymieszać ją należy, ażeby lody jednolitą masę stanowiły, a nie dzieliły się na krupki. W przeciągu pół godziny, najdalej trzech kwandransy lody są już gotowe, i stać mogą w maszynce choćby dzień cały, lecz wtedy maszynkę należy grubą serwetą owinąć. Chcąc je na półmisek wydostać, potrzeba wydobyte stożkowe naczynie z lodami, zanurzyć w gorącej wodzie.

Zrobienie jednorazowe lodów, nie strawi całkowicie zamrażającej masy, można przygotowaną poprzednio drugą porcyę kremu nałożyć i bezzwłocznie raz jeszcze zamrozić, jednakże pamiętać należy, iż tylko do połowy naczynie napełnić można, gdyż zimna masa w górze, już nie ma dostatecznej siły oziębiającej. Masę także schować można do powtórnego użytku.

Po ukończeniu całej roboty, maszynkę natychmiast gorącą wodą się wyparza, myje i bardzo starannie wyciera.

Wino i inne potrawy można również w przyrządzie tym zamrażać wyśmienicie. Butelka wstawia się w naczynie stożkowate w ten sposób iż szyjka przechodzi przez pokrywkę stosownie urządzoną.

Maszynki są tylko w trzech wielkościach w magazynie p. Knola: pierwszej wielkości maszynka kosztuje rs. 6, drugiej rs. 7 kop. 50 a trzeciej rs. 9.

Odpowiedzi od Redakcyi.

Pani A. D. w Woskodawach. Trzewiki wysłane, również list z rachunkiem.

Pani Olimpii M. Żniwiarki Grubińskiego nie ma w handlu, ale kompetentni w tym względzie rolnicy, radzą żniwiarkę W. A. Wooda kosztującą rs. 300, za którą należytość zaraz powinna być uiszczoną.

Panu R. K. Geografią wraz ze stosowną mapką wysłaliśmy pod opaską. Metoda Adolfa Dietricha składa się z sześciu kajetów, z których każdy kosztuje kop. 7 $^1/_2$.

Pani M. K. Olejek do maszynki wysłaliśmy wraz z książką katechizmową.

Pani Zofii M. Książka odkryć geograficznych Anczyca kosztuje rs. 1—20. Opakowanie i opłata pocztowa zapewne około kop. 20.

Pani J. Z. w Nowochopiorsku. Kolija dżetowa kosztuje na miejscu od rs. 4 do 20. Broszka i kolczyki w dobrym gatunku i guście od rs. 3 do 10. Pasek skórzany od rs. 2 do 6; do cen tych doliczyć należy koszta przesyłki i opakowania.

Panu B. w Korsuniu. Przepisy gorzelniane i nowa ustawa wódczana, nie wyszły zupełnie, najnowsze, zaś Gorzelnicwo napisane przez Körtera rs. 1 kop. 50.

Pani K. S. List nas doszedł, ale odesłane w nim kop. 45 nie odebraliśmy. Może zapomniano dołączyć,

P. Kazimirze. Wierszyk „Szkoda jej!" nieźle napisany, ale to nie poezya. Drugi z zaletami więcej poetycznemi pomieścimy w Tygodniku. „Łza Dziadzi," dla Przyjaciela bardzo odpowiedni i o podobne prosimy.

Panu Ziemisławowi Szczery. Zdarzenie z przedrukiem wierszyka dość ciekawe i radzibyśmy dowiedzieć się jak wyjaśnione zostanie. W czasach upadku moralnego będącego znamieniem naszych czasów, takie przywłaszczenie cudzej pracy nie dziwi nas wcale. Jak dla zdobyczy grosza nie ma środka do odrzucenia tak i dla sławy, rozgłosu i błyszczenia na widowni świata, wszystko staje się godziwem i usprawiedliwionem.

Pani Emilii B. w Kleniewie. P. Adam Wiślicki nie popełnił żartu wydawnictwami swemi 50-cio: tomowej biblijoteki, Encyklopedyi i Panteonu, żadnej nie mających wartości, ale... niech się pani domyśli. Że ponawiał podobnie tandeckie wydania, nie dziwi nas wcale, ale że publiczność kupowała to godne zastanowienia.

Pani Karolinie U. w Stawiszczach. Za słowa tak wielkiej życzliwości serdecznie jesteśmy wdzięczni. Antosiowi odpowiadamy w Przyjacielu.

Pani Joannie S. w Chybicach. Sprawunki wszystkie za tydzień odesłane zostaną, co do fortepianu, to prosimy o oznaczenie ceny za jaką ma być kupiony. Nowe kupowane są po stałych cenach fabrycznych, o których łatwo się dowiedzieć u każdego z fabrykantów.

Pani Ewie Z. w Glinowicach. Katalog żądany wysłaliśmy razem z książkami. Kapelusze zaś i rękawiczki w tych dniach oddane zostaną na pocztę.

Panu Leonowi G. w Czerykowie. Okrycie w N 18 Tygodnika Mód zamieszczone, kosztować może od rs: 60 do 100: drugie aksamitne od rs. 50 do 120. Cena zależy od gatunku użytego materyału i piękności przyboru.

Do dzisiejszego Nru Tygodnika Mód, dołącza się dodatek z drzeworytami.

ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ. Варшава, 9 (21) Іюля 1875 г. Redaktor i Wydawca **J. K. Gregorowicz.** Druk E. Skiwskiego, Elektoralna Nr. 758 (28).

Dodatek.

Opis do N. 30.

(*Dokończenie*).

N. 12—14. Pokrowiec na parasol.

Odszyty jest z czarnej ceraty długości odpowiedniej do parasola i ozdobiony wyszyciem z cienkiego



N. 2. Sukienka z wyciętym staniczkiem. Krój patrz ryc. 3 i 27 w N. 27.

płótna, pąsowego sznureczka i czarnego jedwabiu. Od góry dla zręcznego ujęcia pokrowca dodaje się ucho 30 cent. długie a 2 1/2 szerokie. Wzór szlaczku podaje ryc. 13 i 14.

N. 15—16. Teczka na szkice i ołówki.

Odszyta jest formą torebki, z jednego kawałka 30 cent. długiego a 20 szerokiego, który z boków zszywa się z sobą a w jednym końcu od góry wywija w małą klapkę. Na ołówki przeznaczona jest mała kieszonka, przestębnowana w przegródki, jak to widać na ryc. 16.

N. 17—17-a. Nesesser z przyborami do szycia.

Rycina 17 przedstawia mały i bardzo praktyczny podróżny nesesser, który w kieszeni mało zabiera miejsca a mieści w sobie dwie szpulki nici: czar-



N. 4. Szlaczek do ryc. 4 w N. 29.

ną i białą, igły różnej grubości, nożyczki i naparstek. Wykonane jest tak łatwe i nie potrzebuje przy rycinie żadnego opisu.



N. 1. Suknia z vêtement muślinowem. Plecy do ryc. 41.

N. 18—19. Album kieszonkowe.

Złożone jest z dwóch długich kawałków materyjału, z których jeden stanowi wierzch a drugi podszewkę. W podszewce tej odpowiednio do wielkości i liczby fotografii wycina się owalne kółka brzegiem których przyklejone są rameczki tekturowe; następnie przestębnowywa się z trzech stron przez oba materyjały a od góry zostawia miejsce wolne do wsuwania fotografii. Ryc. 18 przed-



N. 3. Sukienka ze stanikiem pod szyję.

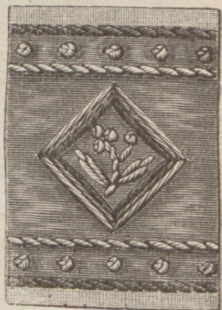
stawia album otwarte a ryc. 19 zamknięte i ściśnięte elastyką. Ażeby fotografije nie wypadały przyszywa się od góry po kawałku wstążeczki do spodu i wierzchu, które po włożeniu fotografii związują się w kokardę.

N. 20. Apteczka kieszonkowa.

Małe wysuwane pudełko tekturowe, wyklejone gładko papierem służy do umieszczenia kilku dobranych w odpowiedniej wielkości flaszeczek z lekarstwami.

N. 21. Kołdra podróżna. Robota szydełkowa ściegiem tunetańskim.

Na kołdrę 177 cent. długą a 130 szeroką, potrzeba około 1200 grammów włóczki, z której połowa jest koloru piaskowego a druga połowa rozdziela się między kolory czarny, maisowy i cie-



N. 5. Szlaczek do ryc. 4. w N. 29.

mno piaskowy w ilościach odpowiednich do deseniu. Kołdra składa się z 9 pasów, naprzemian jasnych i ciemnych, po 14 cent. szerokości; na czterech jasnych pasach



N. 8. Ubranie z chusteczką. Patrz ryc. 8.

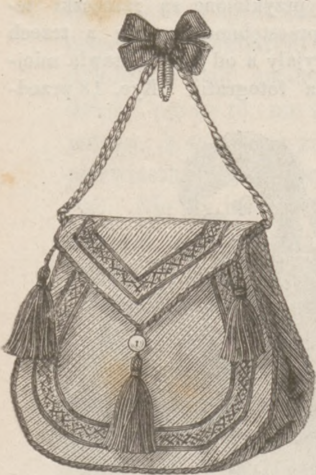
N. 7. Suknia ze szmizetką i bufowanemi rękawami muślinowemi.

N. 8. Suknia ze stanikiem z bawetem sznurowanym z tyłu. Krój stanika patrz ryc. 33 w N. 10. Przód chusteczki patrz ryc. 6.

przerabiane są brzegiem ząbki z muszek, a środkiem wyszywają się gwiazdki.

Ciemne pasy pozostają gładkie i tylko po brzegach mają dodany szlaczek jasny przerobiony z wierzchu szydełkiem zajmując naprzemian przez trzy oczka z kolei w jednym rzędzie, a czwarte oczko przez 2 rzędy. Sposób roboty muszek wypukłych opisywaliśmy w przeszłorocznych N-rach, do nich więc odsyłamy czytelniczki.

Gwiazdki wyszywane w kwadratach odznaczających się między ząbkami z muszek dają się z włóczki zielonej, lila i pąsowej w dwóch cieniach; wszystkie pasy obrabiają się z brzegów włóczką czarną a następnie zrabiają od lewej strony włóczką maisową, 1 rzędem o. ścisłym. Brzegi kołdry zakończone są ząbkami z ciemnej włóczki, robi się 1 o. śc. dalej opuszczając 3 o. brzeżne odrobić 8 sł. i znów opuściwszy 3 o. brzeżne zaczyna się następny ząbek 1 o. ścisłem. Z poprzecznych brzegów dodana jest wiązana w kolorach odpowiednich do pasów.



N. 10. Kieszonka do zawieszenia przy pasku. Patrz ryc. 11.



N. 9. Kapelusz ogrodowy.



N. 17-a. Szlaczek do ryc. 17.

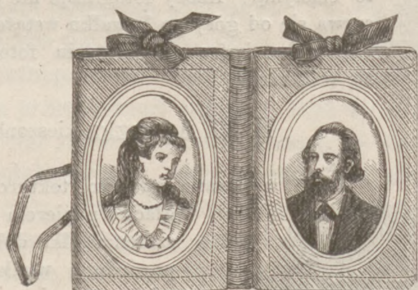


N. 12. Pokrowiec na parasol. Patrz ryc. 13—14.

N. 22—23. Dwie podróżne poduszki.

Podajemy wzór ozdobnych powłoczek na podróżne, skórzane poduszki po 50 cent. długości a 42 szerokości; małe ich rozmiary pozwalają z łatwością zapakować je w portsak lub zapiąć w paski do rzeczy. Na rycicinie 22 widać powłoczkę wzdłuż zapiętą i ozdobioną z brzegow haftem gipiurowym, którego deseń załączyliśmy na ryc. 15 w N. 29 inny ładny wzór szlaku z podkładaniem tiulu przedstawia ryc. 16 w N. 29.

Poszewka z haftowanemi zębami, zapinana z boków przedstawiona jest na ryc. 23, wzór zęba w naturalnej wielkości podaje ryc. 5 z przeszłego N-ru.



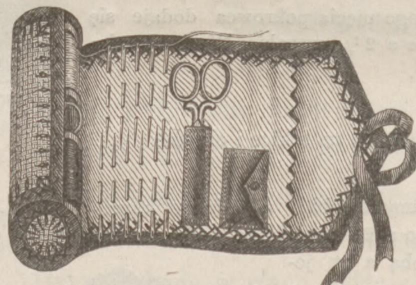
N. 19. Album kieszonkowe rozłożone. Patrz ryc. 20.

N. 24. Koronka szydełkowa do letnich sukien.

Wzór tej koronki jest tak łatwy, iż odrobić ją można bez szczegółowego opisu, odliczając tylko oczka i słupki, podług ryc. 24.



N. 30. Album kieszonkowe złożone.



N. 17. Nesesser podróżny z przyborami do szycia.



N. 16. Przedziałka na ołówki do teczki ryc. 15.

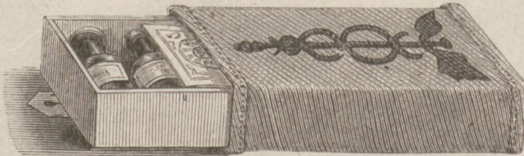
N. 21. Kołdra podróżna. Robota szydełkowa.

N. 25. Krawatka zakończona gipiurą szydełkową.

Krawatka z kolorowej jedwabnej krepy lub białego muślinu ozdobiona jest piękną gipiurą, której opis podamy na ryc. 27.

N. 26. Krawatka z irlandzką koronką.

Krawatka z czarnego jedwabnego repsu wymaga kawałka skośnego 80 cent. dlugiego a 12 szerokiego, do którego końców przyszyta jest piękna koronka odrobiona z tasiemeczki gładkiej i medalijonowej; wzory takich narożników i zakończeń do krawatek znajdą czytelniczki w przeszłorocznych N-rach Tygodnika.



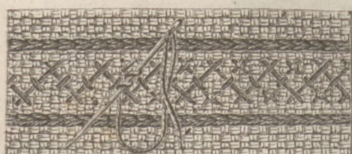
N. 20. Apteczka podróżna.

N. 27. Kwadrat gipiurowy. Robota szydełkowa z gładką koronkową plecioneczką.

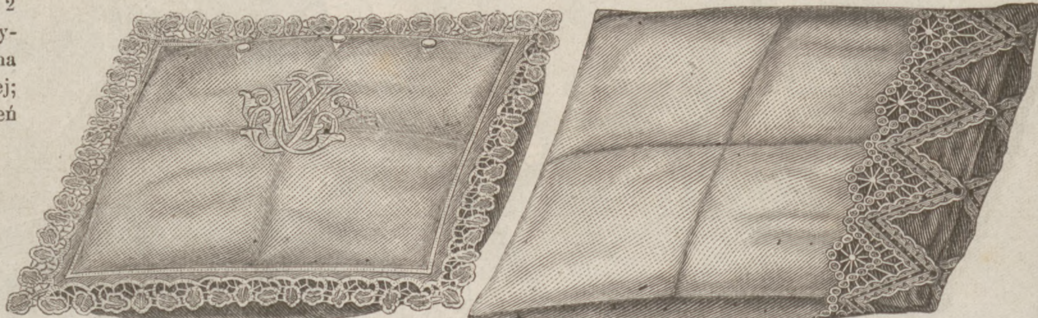
Całkowity taki kwadracik wzięty pojedyńczo służyć może do przyozdobienia poduszeczki toaletowej, szkatułeczki do chustek od nosa lub t. p. W połączeniu z kwadratami batystowemi białemi czy écru, lub kolorowemi z atłasu stanowi bardzo efektowne serwetki do mebli. Czwarta część użytą być może jako zakończenie krawatki na szyję, jak to przedstawia ryc. 25 Kwadrat zaczyna się od gwiazdy środkowej, na którą potrzeba robić w 1 rzędzie 7 o. pow. dalej 3 sł. przedzielane 3 o. pow. w 1-sze z siedmiu oczek pow., 3 o. pow. i 1 o. śc. w czwarte z 7-miu pow. W drugim rzędzie, w którym naprzemiau idą 4 listeczki i 4 ząbki, są 3 o. pow. z poprzedniego rzędu obrobione do połowy 3 o. śc., dalej jako na środek listka robi się na 8 o. pow. 8 o. śc. otacza je w około o. śc. a nad temi daje 2 o. pow., 1 pikot, 5 o. pow. 2 pik. przedzielone 2 o. pow., 2 o. pow., 1 o. śc. na czubek listka, 2 o. pow. 2 pikoty przedzielone 2 o. pow., 5 o. pow. 1 p., 2 o. pow. i 1 o. śc. łańcuszkowe jako zakończenie listka. Następnie aż do zaczęcia drugiego listka * robi się 6—8 o. śc.; skoro matowa część drugiego listka jest odrobiona, zaczyna się na brzeg z pikotów najpierw tylko 2 oczka pow., 1 pik. i 2 o. pow. a jako zaczęcie trójkątnego ząbka robi się 10 o. pow. i 1 o. śc. w środkowe z 5-ciu pow. oczek pierwszego listka. Nad pow. o. stanowiącemi podstawę trójkąta przerabia się 9 razy tam i napowrót płaskim szydełkowym ściegiem opuszczając na początku każdego rzędu 1 o. skoro skończy się trójkącik potrzeba łańcuszkowemi o. przeprowadzić nitkę do listka zaczętego i dokończyć przy nim obrobienie z pikotów, poczem powraca się do *. W trzecim rzędzie daje się * i o. śc. na czubku każdego ząbka trójkątnego 14 o. pow., 1 sł. na czubku listka 14 o. pow. i powracać od *. Przerobiwszy następnie dwa gładkie rzędy płaskim ściegiem, odrabia się dwanaście ząbków brzeżnych przedzielanych 3 o. śc. z których każdy ma za podstawę 7 oczek. Ząbki zakończone są pikotami, dając naprzemian 2 o. pow. 1 p. i 1 o. śc. w każde zagłębienie ząbków. Ramka kwadratowa otaczająca gwiazdkę obejmuje w 1-szym rzędzie * 1 o. śc. w środkowy pikot ząbka, 14 o. pow. 1 o. śc. 14 o. pow. a na narożnik dwa trzy razy nawinięte sł. przedzielone 14 o. pow., zaczepione za czubek następującego ząbka, znowu 14 o. pow., 1 o. ścisłe i powtarzać od *. Drugi rząd stanowią o. śc. zajmowane w każde z o. pow. Odpo-



N. 15. Teczka podróżna do szkiców i ołówków. Patrz ryc. 16.

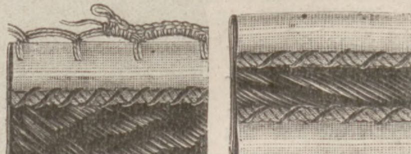


N. 11. Szlaczek do ryc. 10.



N. 22. Poduszka podróżna w haftowanej poszewce zapiętej z boku podłużnego. Patrz r. 15—16 w N. 29.

N. 23. Poduszka podróżna w poszewce zakończonej w zęby. Patrz ryc. 5 w N. 29.



N. 13 i 14. Szlaczki do ryc. 12.

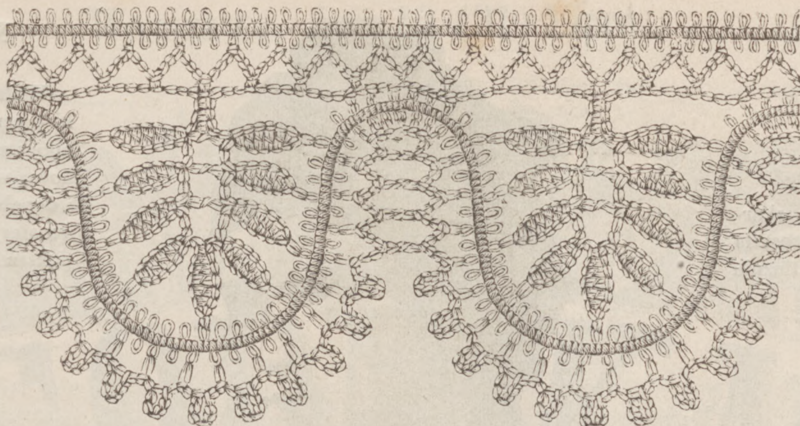
wiednio do tego środka układa się kwadratowa ramka z tasiemeczki koronkowej, która zaczepia się mocno w miejscach krzyżujących się z sobą.

Połączenie plecioneczki między sobą dopełnia się za pomocą ząbków i pikotów danych w dwóch rzędach. W pierwszym rzędzie robi się na każdy ząbek 1 o. śc. 6 o. pow. 4 p. złączone z sobą w gwiazdeczkę 1 o. śc., 6 o. pow. Ząbki drugiego rzędu liczące po 12 o. pow. przyczepiają się środkiem 2-ma o. śc. do gwiazdeczki z pikotów. Kwadraciki odznaczające się w narożnikach, zapełniane są gwiazdeczką i dwoma ząbkami.

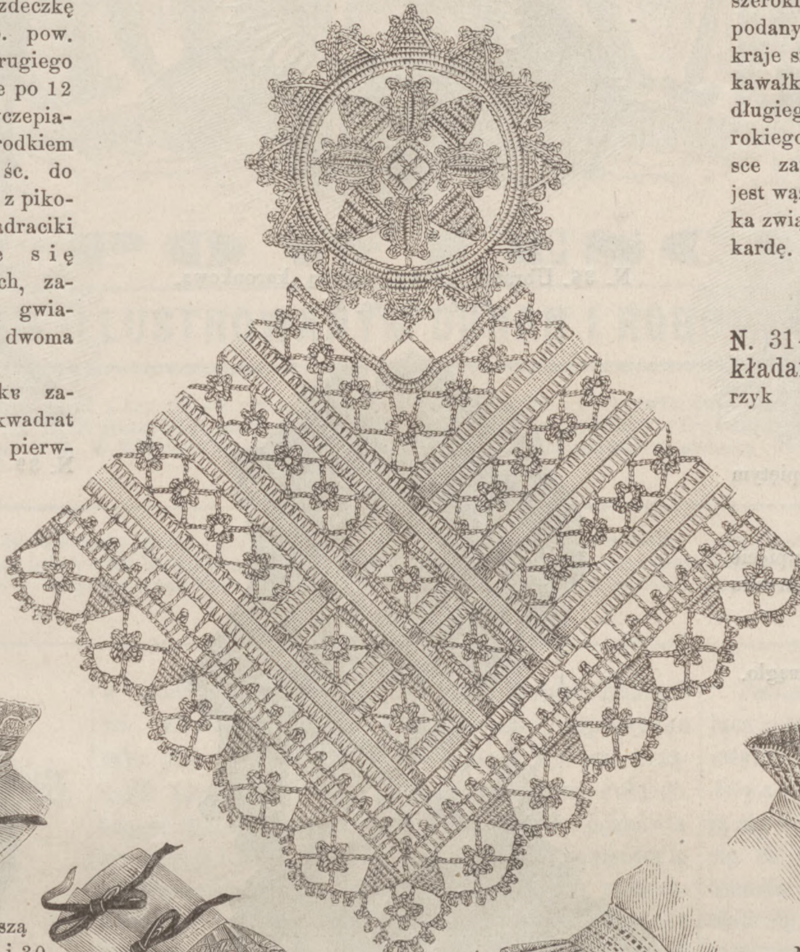
Koroneczkа zakończająca kwadrat obejmuje w pierwszym rzędzie naprzemian 1 sł. pod. i 4 o. pow. z pikotem z pośrodku; w drugim rzędzie dane są słupki i o. pow.. w trzecim widać matowe trójkąciki i ażurowe ząbki z pikotami; wykonanie wskazuje ryc. 8 a ułatwia opis podany przy robocie gwiazdki. Każdy ząbek ostatniego rzędu liczy: 1 o. śc. 1 o. pow., 2 p., 2 sł. dwa razy nawijane, przedzielone 5 pikotami i znów 2 p. i 1 o. pow.



N. 25. Krawatka z gipiurą szydełkową z koronkowej tasiemeczki Patrz ryc. 27.

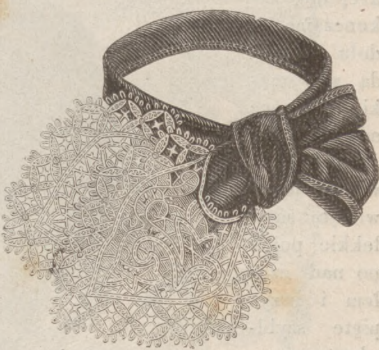


N. 24. Koronka szydełkowa z mignardise.



N. 28. Kwadrat z gipiury szydełkowej. Odpowiedni do r. 25.

Brzegi kołnierzyka z podwójnie wziętego materyjału podkładają się we dwoje tak głęboko, ażeby przeszyte zostały rzędem stębnówki. Riusza z białego batystu, oszyta pliską kolorową, lub koronką liczy w środku 3 ku końcom 1 cent. szerokości, układa się w kontrafałdy i wszywa między brzegi kołnierzyka i mankietów. Kołnierzyk składa się z paska 1 cent. szerokiego; mankiet podany na ryc. 29 kraje się z prostego kawałka 10 cent. długiego a 24 szerokiego. W miejsce zapinek użyta jest wązka aksamitka związana w kokardę.



N. 26. Krawatka z koronką irlandzką.

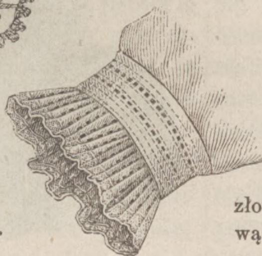
N. 28—30. Kołnierzyk i mankiet ozdobione riuszą i kokardami.

Odszycie tego kołnierzyka zaleca się wielką praktycznością, gdyż jak to wskazuje ryc. 30 ozdabiająca go riusza wszyta jest w taki sposób. że z łatwością daje się wypruć do prania.

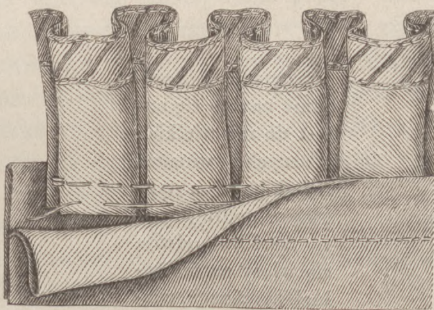


N. 28. Kołnierzyk z riuszą i kokardą patrz ryc. 29 i 30.





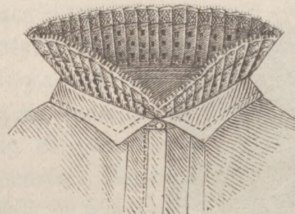
N. 29. Mankiet do r. 28. N. 32. Rękawek do ryc. 31.



N. 30. Riusza do kołnierzyka ryc. 28 dająca się wypruwać do prania.

N. 31—32. Wykładany kołnierzyk i rękawek z plisowaniem.

Kołnierzyk wykładany, z cieniutkiego płótna, 3 cent. szeroki ma brzegi przestębnowane. Batystowe plisowanie oszyte ażurową wstaweczką i koronką, podszyte jest od spodu wyłożenia. Rękaw 24 cent. szeroki składa się z paska batystowego na którym przystębnowane są dwie pliski płócienne, przedzielone ażurowemi paseczkami.



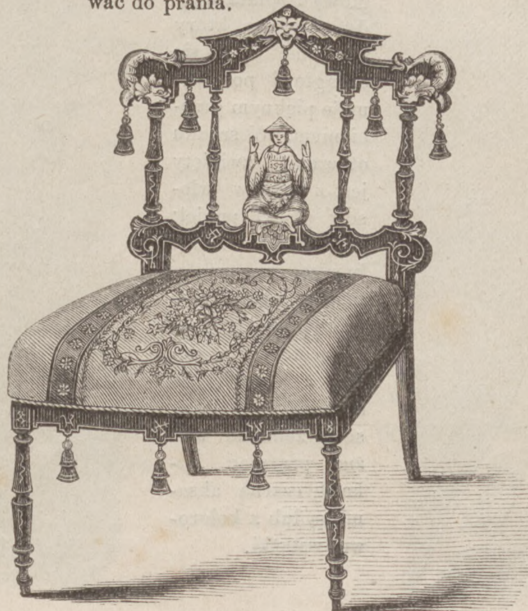
N. 31. Kołnierzyk wykładany z podszytem plisowaniem Patrz r. 32.

N. 33. Ozdobne krzesełko do salonu.

Podajemy tu model ładnego i bardzo ozdobnego krzesełka wyrzeźbionego z drzewa lakierowanego na czarno z malowaniem w chińskim guście złotem, kolorem pąsowym i z wykładaniem konchą perłową. Haft zajmujący środek siedzenia wykończony jest podług ryc. 4 w N. 29.



N. 34. Suknia z tuniką zapiętą z tyłu. Plecy do ryc. 21 w N-rze 29.



N. 33. Krzesełko do salonu. Patrz haft ryc. 4 w N. 29.



N. 35. Suknia z tuniką fartuszkową dopełnioną z tyłu brytem prostym. Plecy do ryc. 20.

N. 34. Opis przy ryc. 21 w N. 29 Tygodnika.

N. 35. Opis przy ryc. 20 w N. 29.

N. 36—37. Ubranie głowy barbką tiulową.

Po rozdzieleniu na trzy części przednie włosy są skarbowane i lekko odwinięte z boków, trzecia część pozostała z tyłu związuje się u góry a następnie podwija podłużnie na płaskiej krepinie, zakończając u dołu kokardą z wstążki. Końce odwiniętych, przednich włosów przewinięte są w lekkie pukle po nad czołem i przypięte szyldkretowym grzebieniem. Lekka koronkowa barbka układa się w ten sposób ażeby z jednej strony zostawał krótki koniec, a z drugiej widać nad sutem przefałdowaniem małą kokardę z puklami. To upięcie ułatwiają ryc. 36 i 37 przedstawiające uczesanie z przodu i z tyłu.



N. 38. Uczesanie z warkoczem zapiętym okrągło. Przód do ryc. 39.

N. 38—39. Uczesanie z warkoczem zapiętym okrągło.



N. 36. Ubranie głowy barbką koronkową. Przód do ryc. 37.



N. 37. Ubranie głowy barbką koronkową. Patrz ryc. 36.

Skromne to uczesanie nadaje się nawet do nie wielkich własnych włosów. Z boków i z tyłu głowy, podług ryciny 38 i 39 odwija się włosy na malcńkich krepinach, wiąże wysoko z tyłu głowy i splata w jeden warkocz, który następnie upina się okrągło i podtrzymuje pięknym grzebieniem. W środku otoczenia zwinięty jest z końców włosów płaski pukiel; gdy własne włosy bardzo są małe, można upiąć z nich tylko pukiel środkowy a otoczenie dodać z przypiętego szyniona. W miejsce grzebienia można przypiąć kokardę czarną aksamitną lub z kolorowej wstążki.

N. 40. Suknia z koronkową tuniką i bluzką.

Wełniana koronka czarna i écru 8 cent. szeroka i wstawki 4 cent. szerokie, składają materyjał na fartuszkową tunikę i staniczek bez rękawów, odszyte w jednym ciągu stanowią vêtement pięknie odbijające od tła kolorowej sukni i dopełnione z tyłu szarfami z wstążki czarnej i écru, lub z materyi w dwóch cieniach koloru sukni. Między sutemi puklami przewijana jest czarna koronka, wykrój pachy stanika oszyty jest koronką 5 cent. szeroką, przepiętą kokardą z wstążki. Przy wykroju szyi ufałdowana jest koronka 6 cent. szeroka.

N. 41. Opis przy ryc. 1.



N. 39. Uczesanie z warkoczem zapiętym okrągło. Patrz ryc. 38.



N. 40. Suknia z koronkową tuniką i bluzką.



N. 41. Suknia z muślinowem vêtement. Przód do ryc. 1.